

„Gniewińskie Pióro 2022”

ALMANACH POKONKURSOWY



Grafika wykorzystana na okładce:
Z archiwum Gminy Gniewino –
Wieża widokowa w kompleksie „*Kaszubskie Oko*”

Korekta:
Hanna Grzybowska

Redakcja, projekt okładki i skład komputerowy:
Wydawnictwo MS

Druk i oprawa:
Drukarnia cyfrowa on-line
Białystok

Wydawca:
Wydawnictwo „MS” Wejherowo
Tel. 58 672-51-53

Nakładem:
Starostwa Powiatowego w Wejherowie
Centrum Kultury, Sportu, Turystyki i Biblioteki w Gniewinie

ISBN
978-83-65092-41-0



PROTOKÓŁ z posiedzenia Komisji XXI OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU LITERACKIEGO „GNIEWIŃSKIE PIÓRO” z dnia 20 września 2022 r.

W dniu 20 września 2022 r. odbyło się podsumowanie posiedzeń Komisji XXI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „GNIEWIŃSKIE PIÓRO”. Organizatorem Konkursu było Centrum Kultury i Biblioteka w Gniewinie, a patronowała mu Rada Gminy Gniewino.

W konkursie wzięło udział 218 uczestników z Polski oraz z zagranicy (Kanada, Niemcy, UK, Holandia, Niemcy). Jury oceniło 126 zestawów poetyckich oraz 92 teksty prozatorskie w dwóch kategoriach wiekowych: dorośli i młodzież.

Komisja w składzie:

Wioletta Majer-Szreder - przewodnicząca, poetka, dr literaturoznawstwa, nauczyciel polonista, **Anna Jastrzębska** - nauczyciel polonista, **Ewa Haberka** - nauczyciel polonista, **Dorota Zadroga** - nauczyciel polonista, **Róża Metz-Szymikowska** - nauczyciel polonista, **Małgorzata Kobiela** – nauczyciel polonista - nagrodziła w poszczególnych kategoriach następujące osoby:

• KATEGORIA: POEZJA - DOROŚLI:

- 1 miejsce** - godło „Przesilenie” – Rafał Baron, Gdańsk
- 2 miejsce *ex aequo*** - godło „Dom za rogiem” – Zdzisław Drzewiecki, Biały Bór
- godło „Zegar słoneczny” – Katarzyna Kadyjewska, Rzeszów
- 3 miejsce** - godło „Quantum” – Mariola Kruszewska, Mińsk Mazowiecki
- godło „Antygona” – Małgorzata Borzeszkowska, Łęborg

wyróżnienie

- ⇒ godło „Poeciarka” – Małgorzata Wasilewska, Łomża
- ⇒ godło „Geronimo” – Leszek Wójcik, Lubaczów
- ⇒ godło „Pomień świecy” – Irena Wanda Niedzielko, Zalasowa

Wyróżnienia w formie wydrukowania utworu w almanachu pokonkursowym:

- ⇒ godło „Paulette” - Paulina Świątek, Kraków – za wiersz pt. „Autoportret jesienny”
- ⇒ godło „Jenot” - Mirosław Kowalski, Mysłowice - „Pól na pół. Jedno błyskawiczne cięcie”
- ⇒ godło „A.O.” - Daniel Głowacki, Egchel (Holandia) – „*** Na dzień małej filizanki”
- ⇒ godło „Ultra Sonata” - Marzena Jaworska, Warszawa – „O przerostach przedśionków i komór”
- ⇒ godło „Jadampapaje”- Małgorzata Kotłowska, Szczecin – „Był jeszcze on”
- ⇒ godło „Le Nuage” - Matylda Trojanowska, Warszawa – „Rutyna”
- ⇒ godło „Pisanie ze słuchu” - Krzysztof Przegiętka, Toruń – „SMS do ukraińskiej matki”
- ⇒ godło „Tycjan” - Zbigniew Pikuła, Majkowie – „Katyńskie wrzoty”
- ⇒ godło „Nastrojowo22” - Andrzej Halicki, Biała Podlaska – „Starość”
- ⇒ godło „Włóczykij” - Karol Darmoros, Warszawa – „Luty/maj”
- ⇒ godło „Księżycwiczoru” - Aneta Jasłowska, Wrzosowo – „Sierota (pantom)”
- ⇒ godło „Nienazwana” - Magdalena Szpunar, Kraków – „Niech się sieją dobrzy ludzie”
- ⇒ godło „Klon” - Marek Klamczyński, Sulejówek – „Gołębie serce”

• KATEGORIA: PROZA - DOROŚLI:

- 1 miejsce** – godło VESPER – Agnieszka Panasiuk, Biała Podlaska - „Najwierniejszy towarzysz”
- 2 miejsce *ex aequo*** – godło CÓRKA – Danuta Urbańska, Warszawa - „Moja gramatyka”
– godło ŻÓŁWICE – Tamara Żółwińska i Aleksandra Żółwińska, Stargard - „Spadek”
- 3 miejsce** – godło JEDNOROŻEC – Agnieszka Góra-Stępień, Lublin – „Galera”

wyróżnienia:

- ⇒ godło PAPIEROWYDOM – Maria Kocot, Bytom - „Hellada 1939”
- ⇒ godło LAWENDA – Edyta Jachowicz, Ruda Śląska - „Dom, czas i nostalgia”

• **KATEGORIA: POEZJA - MŁODZIEŻ:**

- 1 miejsce ex aequo** – godło „Poetessa” – Martyna Niedźwiedź, Rokietnica, 16 lat
- 1 miejsce ex aequo** – godło „Bibosz” – Alicja Sówka, Ugniewo, 17 lat
- 2 miejsce** – godło „Teresa Niedźwiedź” – Urszula Stefanowska, Kielce, 16 lat
- 3 miejsce** – godło „Malena” – Karolina Majorowska, Warszawa, 16 lat

wyróżnienia:

- ⇒ godło „Grechut” – Grzegorz Sobkiewicz, Stalowa Wola, 14 lat

• **KATEGORIA: PROZA - MŁODZIEŻ:**

- 1 miejsce** – godło „Malliadne” – Ewa Świątek, Bojanowo, 13 lat – opowiadanie bez tytułu („Brine-rest...”)
- 2 miejsce** – godło „Gawędziarz” – Jan Kocot, Bytom, 13 lat – „Historia wolności”
- 3 miejsce** – godło „Valar” – Natalia Maślej, Nysa, 13 lat – „Błękitne oczy”

wyróżnienia:

- ⇒ godło „Fatamorgana” - Zuzanna Szłapa, Gdańsk, 13 lat – opowiadanie bez tytułu („Budzę się...”)
- ⇒ godło „Lil-Ly” - Eliza Jeżak, Bielawa, 13 lat – „Cierpienie i magia”

Nagrody finansowe dla dorosłych laureatów zostaną przelane na podane konta bankowe, a nagrody rzeczowe dla młodzieży, dyplomy oraz almanachy pokonkursowe zostaną wysłane pocztą w terminie do miesiąca od dnia ogłoszenia wyników.

Druk almanachu pokonkursowego został dofinansowany przez Starostwo Powiatowe w Wejherowie.

Gratulacje dla wszystkich laureatów XXI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Gniewińskie Pióro” oraz serdeczne zaproszenie wszystkich uczestników do próbowania swoich sił w następnej edycji Konkursu.

Kategoria
- poezja -
dorośli



Rafał Baron

Godło: „Przesilenie”, Gdańsk

I miejsce poezja

Anioł z Azowstalu

Nie wiem co musiałbym napisać by ten wiersz stał się ważny i niósł dobrą nowinę jak anioł. Zazwyczaj anioły oczekiwane są w innym otoczeniu, w sakralnych wnętrzach bogato zdobionych witrażami. Czeka się aż zstąpią na uduchowiony tłum i przekażą głębokie prawdy, więc tamta chwila i tamto miejsce: pordzewiałe rury, gruz i stalowe półki sięgające osmalonego dymem sufitu i tamten żołnierz z rozpostartymi ramionami – nie pasowało do niczego. (czyż to nie jest definicja ‘z innego świata’?)

A przecież to była prosta sytuacja: szeregowy chciał trochę światła i stanął pod lufcikiem. I przeszła go smuga. Być może widzialna część promieniowania elektromagnetycznego. Być może.

To prosta sytuacja. Tak bardzo bym chciał, by to był anioł ratujący go z tego piekła. Nie wiem co musiałbym napisać by tak się stało.

Illia

Lekarze mówią, że chłopiec rozpromienia się, gdy odwiedza go dużo ludzi, ale smutek nie znika z jego oczu.

W snach odtwarza film: ostrzał artylerii, bieg schodami, wybuch, odłamki szkła, betonu i stali. Słabnące ręce matki niosącej go do sąsiadów. Krew na kanapie gdzie obydwójce leżeli przytuleni. Odeszła trzymając go jak kiedyś kilkumiesięcznego

chłopca. Tuląc go do snu, który będzie go prześladować do końca.

Teraz chłopiec tuli do siebie dużego pluszowego misia, za którym się chowa.

Wira

Wyobraziłem sobie taki widok:

Dziewczynka idzie przez las z matką. Wszędzie świerki, buki i porzucone zbędne rzeczy: puste słoiki, chusteczki, ale także od czasu do czasu pluszowe zabawki. Znak, że idą dobrze, do przejścia granicznego. Ściemnia się i wszystko jest coraz bardziej niewyraźne i zamazane jak cały ten czas w jej wspomnieniach.

Wyobraziłem sobie, że nagle zaczynają biegać, bo robi się upiornie głośno od wybuchów. Chowają się za drzewem.

Dziecko, kiedyś będziesz na pewno w plikach zapisanych na urzędowych komputerach, w pamięci cudzych telefonów. Lecz teraz, cokolwiek się stanie, gdybyś zabłądziła i odnalazła się daleko stąd sama, gdybyś kluczyła w ciemnościach, gdybyś wpadła do jakiegokolwiek otchłani, ratunek napisany jest długopisem na twoich plecach: imię, nazwisko, data urodzenia i numery telefonów. Tożsamość zmywalna, lecz nic więcej nie jestem w stanie ci teraz dać. Ja, która cię urodziłam, ja, która zna każdy twój oddech, każdą twoją myśl krzyczę teraz:

Biegnijmy, naznaczona dziewczynko, biegnijmy jak niewidzialne duchy. Gdyby nie udało nam się już nigdy razem pobawić w dom - pamiętaj o mnie.

Tak to sobie wyobraziłem gdy zobaczyłem zdjęcie jej pleców. Coś więcej niż korespondencja wojenna.

Coś więcej niż relacja z wojny. Coś więcej
niż zdjęcie.

Irina

Mam problem z rozpoczęciem tego wiersza, bo jak napisać
o kobiecie tak po prostu zastrzelonej
na ulicy miasta Bucza?

Jedynie co zostało, to zdjęcie. Jej ręka w błocie
i pomalowane na czerwono paznokcie. Abstrakcyjnie
nieprzystający do sytuacji manicure – jak uśmiech Jokera
w czasach chaosu.

Jej córka mówi o energii przechodzącej przez tamto miejsce.
Na blogach piszą, że zdjęcie poruszyło cały świat.
Głośno o rozświetlonej istocie. O jej pasjach.
O kosmosie wokół. Jak tematy zastępcze.
Bo wszystko jest tematem zastępczym.
Tego, że jej już tu nie ma. I nic tego nie rozświetli.
Być może życie jest tematem zastępczym
śmierci.

Nie dokończyłem pisać tego wiersza.
Być może ze strachu.
Być może z szacunku do Niej.
Być może dlatego, że nie potrafię.



Zdzisław Drzewiecki

Godło: „Dom za rogiem”, Biały Bór

II miejsce ex aequo, poezja

Wtedy

Mick Jagger znowu wystawia język
w zadymionym pokoju
gdzie piliśmy za wolność
której tak brakowało w naszych życiorysach

wpatrzony byłem w parę ciemnych oczu
o których jeszcze nie wiedziałem że są twoje
ale czułem że muszę je utrwalić
w pamięci do jutra

magnetofon szpulowy po raz enty odtwarzał Angie
głuszac przy okazji milicyjne gwizdki
których dźwięk przylatywał z ulicy
jak natrętne osy
rozpaczliwie wtulałem się w twój wełniany sweter
i byłem gotowy dzielić z tobą każdy grzech
który zdołamy nazwać
dopiero nazajutrz

*But Angie, I still love you, baby
Everywhere I look I see your eyes*

nad ranem w dworcowej poczekalni obierałaś pomarańczę
którą podkradłem z babcinego schowka
ukrytą tam jako jedną z atrakcji
wigilijnego stołu
już wiedziałem że te ciemne oczy należą do ciebie
razem z moim w nich odbiciem
niezmordowany Micke Jagger wystawiał wciąż język
i skracał dystans między nami
byłem gotów byś mnie oswoiła

na szczęście był grudzień
i pociągi kursowały rzadko

Rycerze

Pilem wódkę pod śledzia w gronie chromych rycerzy
Psy wołały z daleka głód obnosić w swych pyskach
Dobrze czując że łatwo gnat połamać gdy w czterech
Przy gorzale do późna wyprawiamy igrzyska

Oręż w kącie lśnił krwawo rany stygły na ciele
Końskie chrapy w obroku zanurzały się w sytość
A za oknem noc cichła Pod drewnianym księżycem
ktoś w zaułku się modlił o czyjś powrót i litość

Kiedy wódka nam we łbach sens do reszty mieszała
Posnęliśmy na stołach i na ławach gospody
Aby rankiem brać oręż i konie kulbaczyć
Aby wojna znów mogła krwawe zbierać jagody

Ech rycerze spod gwiazdy ciemnej jak głębia piekiel
Która was opętała blaskiem swym ponad miarę
W szkarłatnej krwi brodząc życie swoje dajecie
Nie wiedząc nawet jakim bogom na ofiarę

Walizka

co zapakujesz do tej jednej walizki
w przeciągu kilkunastu minut
portret rodziców
zdjęcia dzieci
czy jedwabną bieliznę
może wspomnienia z ostatnich wakacji w Rzymie
walizkę masz solidną skórzaną
zwiedziłaś z nią pół świata
naklejki drogich hoteli
jeszcze dziś pobudzają zmysły
to teraz będzie twój świat twój dom
całe życie utkane z tylu różnych motywów
upchane w jednej chwili kolanem

Katarzyna Kadyjewska
Godło: „Zegar słoneczny”, Rzeszów
II miejsce ex aequo, poezja

Pępki

Drzewo było żelazne ostre
najeżone gniewnymi kolcami
węża nie było w ogóle
tylko
skąd się wzięły pępki

Adam i Ewa zastygli w bezruchu przyspawani
do pnia o barwach podstawowych
niezdolni do poruszenia i samodzielnego
myślenia lecz
kwas dezoksyrybonukleinowy nie próżnował
przenosząc przez stulecia informacje o kolejności
aminokwasów w pojedynczym łańcuchu
polipeptydowym

Adam i Ewa wciąż tkwią przyspawani
do pnia o barwach podstawowych
podczas gdy ludzkość upiera się przy pępkach wężu
jabłku które było granatem lub każdym innym
owocem
to nie tak

prototypy barw zaczątki człowieczeństwa
przetrwały w spiralnych łańcuchach
wszyscy jesteśmy dziećmi
Adama i Ewy
mamy pępki
uzasadnione

Tymczasem

muszę znaleźć mojego
anioła stróża

w ogóle go nie znam a może nawet
gdzieś go zgubiłam

chęć by przysiadł na brzegach snu
gdy rzucę się w objęcia Morfeusza
niech będzie utkany z miłości
i światła
a bezrobotny zostanie
dopiero gdy umrę

teraz
niech zdradzi swoje imię
niech wyprzedza mnie zawsze o krok
niech oświetla trawniki słońcami
mleczy
obsiewa je szczodrze piegami
stokrotek
ratuje przed spaleniem nieudane naleśniki
i chroni pomyłone nogi
przed obłędem złamania

niech jeździ ze mną w bagażniku
wymachuje pompką do roweru
i pogania świętego Antoniego gdy znów
zawieruszę gdzieś
serce

Od-zapomnienie

wspięła się na strych życia
między graty zapomniane niepotrzebne
dawno pokryte
grubą warstwą niepamięci

siedział pod koszem pełnym przeszłości
wymięty brudny wystraszony od-zapomnieniem
blady jak czas
wciąż potężny
godny w krzywej aureoli
dumny mimo fryzury zdobnej

w pajęczyny zagubienia
i szarych piór w pogniecionych skrzydłach

znalazła go zdziwiona
zapomniała o kompcie terażniejszości
- zabierz słoiki – powiedział
i wtedy wiedziała
że należy do niej

Wariatka tworzy anioła

wariaci też mają swoje anioły
tworzą je mozolnie albo z polotem
ze znalezionych części skrzydeł
z odrzuconych piór prefabrykowanych
z drobinek światła
zbieranych po bezdrożach
odbitych w szynach kolejowych
prześwitujących przez skrzydełka ważek

wariatka stroi swojego anioła
w tanią elegancję świętości
pod tandetnie złotą aureolą zaplata
sto czterdzieści siedem warkoczyków
nurzanych w błękicie bo taką farbę znalazła
w napoczętej puszcze –
anioły są stare
nie może być widać
odrostów

rozświecła oblicze świętego
drobinkami brokatu
hojnie sypanego z kosmetyczki dobrze zaopatrzonej
w blask księżycy
turkus miesza ze zjadliwym różem
i wciąż nie wie co zrobić –
czy anioły malują paznokcie
czy noszą biustonosze
i czy skrzydła mogą być kolorowe

Trucizna

myśli
zasnuwają świat stalową mgłą
chmury pękają z dumy więc
wyjmuję parasolkę z samotnego drinka
czas kurczy się jak źle wyprany sweter
pada deszcz

ciekawe
jak duża może być dusza skulona w cierpieniu

wymiatam z głowy kurz i pajęczyny uważam
by nie wpaść w pułapkę prania mało używanych mózgów
myśli błędzą po obrzeżach manowców
robi się naprawdę niebezpiecznie
od szukania odpowiedzi kończy się wyobraźnia

świeca kona powoli w męczarniach samospalenia
licho zasnęło śpi kamiennym snem sprawiedliwego
przeciekając przez rzęsy zamieniam krew w atrament
zaczynam widzieć sens tam
gdzie go nie ma



Mariola Kruszewska **Godło: „Quantum”, Mińsk Mazowiecki** **III miejsce ex aequo, poezja**

spacer

mojemu dziecku, które na szczęście jeszcze nie umie czytać

powinnam unikać wilgoci
zmiany pogody wywołują ból
a deszcz i wiatr
są tak trudne we współżyciu

kałuże to nie oceany
na których nikt mnie nie wytropi
i nie przywlecze jak rybę w sieci
pod próg rezerwatu ochrony ścisłej miseczki z kaszką

o czasie parasolki tłucze werbel wzywający
do wymarszu
do służby
do wiecznej warty na straży pieluch

powinnam unikać wilgoci
skleja tusz na rzęsach
maluje sińce pod oczami
jakbym nie spała tylko całą noc

moje ziarenko
miną wieki nim staniesz się drzewem
może wtedy zrozumiesz
cierpienie pękającej skorupy kasztanowca
gdy ją rozrywa załóżek nowego życia

stara a głupia

zdaje ci się że idziesz ku Everestom
a na drugie ci Marco Polo
spójrz jak szybko za tobą zasypują ślady ognisk

popiół napelni gardła ptaków
nikt nie będzie płakał
po zgaszonych światłach

zdaje ci się że zasiedlasz brzegi dziewiczej wyspy
patrz stonogi biurowców obsiadły
nadmorski asfalt

piasek wysypie się z klepsydry
nikt nie będzie płakał
nad nieważną śmiercią poranka

ten cyrkowy namiot zbudowano na stołkach
podpartych drabinami
szczury piłują kolejne szczeble

wyjdź póki czas
uciekaj za najdalszą siódmą rzekę
odepnij czerwone szelki i wreszcie dorośnij

mój ty pępku ego

znowu niezadowolona

mam być szczęśliwa
przynajmniej uśmiechnięta
ale w kącikach ust wykwita krzywy grymas
więc chowam się po kątach udając pająka
możesz mnie rozgnieść jednym uderzeniem kaptura

*ogarnij się
umaluj i ubierz jakoś inaczej
mogłabyś też w końcu schudnąć
dla zdrowia*

żywię się resztkami
twojej miłości
chowam pod poduszkę okruchy ciepłych słów
zapasy na długą zimową noc
nigdy się mnie nie nauczyłeś
mylisz moją rozpacz z gniewem
a żal z brakiem ukontentowania
oddalasz się na odległość kija
dla własnego błogostanu

dawno już przestałam być motylem
wracam do kokonu
chcę tam pozostać do końca tej lodowcowej epoki
wiem
odwilż nigdy nie przyjdzie

już przestałam się za nas modlić

Małgorzata Borzeszkowska

Godło: „Antygona”, Lębork

III miejsce ex aequo, poezja

Olśnienie

w supermarkecie zdejmujemy ciała
z półek -
wyprzedają części zapasowych
towar uszkodzony złożono w kącie
wstydliwie
przykryty czarną folią
a przy kasie
nagle olśnienie
a conto

w kolejce /pesel

jestem z Kijowa, Odessy, nie mówię po polsku, mówię
po polsku,
uczę się, już wkrótce, jestem z Mariupola, słyszałeś?
to miasto, to było miasto, teraz to kamieniołom,
jestem z Dnipro, siedziałam w piwnicy, a potem na dworcu
w Rumunii, Mołdawii, chcę tu zostać
na chwilę, na dłużej, chcę wrócić, mam przecież dokąd,
nie mam dokąd
wrócić z synem, dwoma, mamą, albo córką lub trzema, kotem, yorkiem,
sama

ktoś tam został, nie został, ktoś już dawno nie, albo niedawno,
nie mogliśmy pochować, leży w prosektorium, na ulicy pełno,
dziękuję za pomoc, potrzebuję pomocy, tabletek, pampersów,
chcę wracać, chcę zostać, chcę być tu i tam, teraz i na zawsze,
i chcę go przytulić

Złota godzina

złota godzina -
światło podchodzi pod próg lasu
buki brodzą w słońcu

ktoś nakręca kosy - śpiewające zabawki
szpaki otrząsają skrzydła z połyskliwych plamek -
za chwilę zgasną
potem zmartwychwstaną
wzjeżdżają ponad sosnami wiosennym księżycem
albo opadną na nas
jak fosforowe pociski
i wypalą dzień do ostatniego oddechu
jeszcze tylko godzina

Komisja egzaminacyjna

cisza
rzepaki kwitną na wzgórzach po drugiej stronie drogi
spokój
przerywany szumem nielicznych aut
czasem głośniejszą odezwą się wróble
ktoś westchnie
bezruch
zapach rzepaku miodowy, lekko mdlący

Internet pełen śmierci- ktoś niespodziewanie ktoś po długiej
ktoś po prostu przestał być
spod gruzów nikt nie wydobył ponad dwustu ciał
czekają bosonogie na swój pierwszy pogrzeb
trudno je będzie przyodziać
trudno więźniów nawiedzić i czcić cokolwiek
szóste przykazanie nie dotyczy dwulatków i niemowląt
piąte nie dotyczy, tak jak dwa ostatnie

rzepak żółci cienie
ukraińskie dziecko pisze rozprawkę o przyjaźni
cisza i martwota
i mdlący zapach odległych śmierci

czasem odezwą się ptaki

Normalność na deskach

ruszają teatry w Odessie -
Makbet sadzi las, na wszelki wypadek- woli kroczące drzewa od pełzającej
czerni

Hamlet hamletyzuje
po francusku
Werter rozdziera szaty i cierpi, z czego niewiele wynika, poza pozą,
antyfony grzebią umarłych
wyją syreny,
widownia pustoszeje
zapełnia się schron-
tylko trzystu widzów,
reszta to martwe
dusze



Małgorzata Wasilewska
Godło: „Poeciarka”, Łomża
wyróżnienie poezja

Maj

Muszą Ci wystarczyć
ususzone kwiaty
bo długo

długo nie zechcesz mieć innych.

Minie trochę czasu
zanim naprawdę
łyż będą powodem radości.

Zdążysz być spokojem
nad oceany niespokojne
i będziesz warta każdej pory dnia.

Wytrzymaj jesień
już niosę dla Ciebie

maj.

Nic tylko...

Żeby Pan wiedział
ile jest czekania w czekaniu.
Nie przeliczamy tego na kilogramy
choć ważymy każde słowo.
Takie powietrze, które przecież nic.

Nic
tylko utrzymuje przy życiu.
Taki właśnie Pan jest.

Potrzebny, cholera.

Polubiłam jesień

Kiedyś ubieraliśmy siebie w ciepłe słowa,
dzisiaj zakładamy swetry od chłodu tych słów.
Wystygło wszystko
jak herbata malinowa,

chłód w nas
ziąb
znów.



Leszek Wójcik
Godło: „Geronimo”, Lubaczów
wyróżnienie poezja

BEZSENNOŚĆ

Nie mogę spać
przespałem już w życiu kilkanaście lat
w tym czasie mogłem zrobić coś
na co nigdy nie miałem czasu

przeczytać książkę która kusi
dziewictwem kartek na półce
nauczyć się języka kraju
do którego nie pojechałem
zbudować dom z którego
nie zostały nawet marzenia
posadzić drzewo o smacznych owocach
spłodzić o jednego syna więcej

Kiedyś chyba zasnęłam
i spóźniłam się na życie

CO SIĘ Z NAMI STAŁO

Szliśmy tą ulicą jak dawniej
stęsknione kamienice
pochylały ku nam swoje pnie
porosłe wilgotnym pyłem
wspominaliśmy tamten czas
gdy życie było jeszcze małe
a przestrzeń miała miejsce na błędy

Co się z nami stało
gdzie się podział nasz wspólny głos
którym mogliśmy kruszyć mury
jego echo brzmi teraz
jak nawoływanie przekupniów na targowisku

Wydeptujemy swoje wąskie drogi
jak owce na pastwisku
niosąc na grzbiecie ciężar runa
które nigdy nie będzie złote

PERSPEKTYWA CZASU

Z perspektywy czasu
patrzę na siebie inaczej
bogatszy o tysiące błędów
potknięć i niebezpiecznych zakrętów

w bezpiecznym fotelu widza
znającego scenariusz sztuki

Perspektywa czasu
wyznacza fałszywe współrzędne
na siatce wydarzeń
z naszego punktu widzenia
uginą pamięć siłą emocji
tak samo łatwo rozgrzesza błędy
jak wypomina stracone okazje

Perspektywa czasu nie ma perspektyw
poza pewnością
że czas nigdy nie wróci



Irena Wanda Niedzielko
Godło: „Płomień świecy”, Zalasowa
wyróżnienie poezja

pustka

(pamięci męża)

jak to jest
że człowiek na raz
może być obecny tylko
w jednym miejscu
czasem trudno się spotkać
we własnym domu
ale kiedy go zabraknie
nagle
nie ma go wszędzie
to pewnie dlatego

czyjaś nieobecność
doskwiera o wiele bardziej
niż cieszy obecność

tak bardzo cię nie ma

tak bardzo cię nie ma
przy stole
przed telewizorem
(w śledztwach ojca Mateusza)
na urodzinach wnuków
w planach na wakacje
w koszyku z lekarstwami
w strzykawkach na jedzenie
na sznurach z bielizną
tylko w sercu
rozpychasz się
jak nigdy dotąd

pochówki

pochowałam już Twoje rzeczy
w przepastnych kontenerach
w żarłocznych antykwariatach
przysypałam grudką zapomnienia
tylko Ciebie
nie uda mi się chyba nigdy
pochować do końca

odlot

odleciałeś
jak ptaki jesienią
spodziewałam się przecież
a żal
milknących kluczy
ptaki mi jeszcze zaśpiewają
ty z żadną wiosną już
nie wrócisz

Paulina Świątek
Godło: „Paulette”, Kraków
wyróżnienie w formie druku

Autoportret jesienny

odkąd Balzac wiek mi wypomniał
coraz częściej na białej sali się bawię
i cóż z mej hardości zostało?
dusza sęków nabyła

srebrne nitki między kasztanowymi
(wyrywam skwapliwie)

przez przeszłość na przyszłość patrzę
wciąż dziś mi umyka

gdy nikt nie patrzy
przez barwne liście biegnę w nadziei na spotkanie siebie



Mirosław Kowalski
Godło: „Jenot”, Mysłowice
wyróżnienie w formie druku

Pół na pół. Jedno błyskawiczne cięcie

najtrudniej jest wykrzesać drgnienie blasku z dogasającej lampy

nawet absolutna cisza nie przynosi ukojenia
pryzmat okna nie reaguje na żadne światło
nie załamują promieni szyby zamalowane na biało
lęk jest jak powietrze otacza wypełnia faluje

bezbarny bezwonny bez własnego kształtu
przybiera postać i kształt pomieszczenia w którym się znajduje
postać tego pomieszczenia może być wręcz upiorna
dla kogoś komu

najtrudniej jest wykrzesać drgnienie blasku

nawet niepokojące odgłosy nie podnoszą poziomu lęku
bo pomieszczenie nie może zmieniać rozmiarów i kształtu
ciągłe wsłuchiwanie się w miarowe bądź przyspieszone
bicie aparatury stukot kroków nawoływania szepty
wręcz zubożenia na wszystko z zewnątrz
dźwięki przygasają samoistnie kiedy

najtrudniej jest wykrzesać

niczego pewnego nie zwiastuje żadna pierwsza jaskółka
ani słońca ani deszczu nie wróżą przelatujące korytarzem anioły
rokowania z bliżej nieokreślonych przyczyn
skrywane są za parawanem niedomówień
więc tak naprawdę

najtrudniej jest

czekać
cierpliwie czekać
kiedy waży się
pół na pół



Daniel Głowacki
Godło: „A.O”, Egchel (Holandia)
wyróżnienie w formie druku

Na dnie małej filiżanki
Zaschła radość niedopita
Wiatr wydzwania smutne „szklanki”
Nikt wieczoru nie przeczyta

Noc jak szaro-czarna ćma
Zatrzeпоce skrzydełkami
Nad łąkami płynie mgła
Nasączona wspomnieniami

Drzewa puszczy pociemniały
Pod korzenie mrok się wkrada
Między pniami interwały
Czas legendy opowiada

Cisza coraz bardziej dzwoni
A w niej słowa się unoszą
Błyszcą gwiazdy w nieba toni
Świeci księżyc srebrną kosą

Na horyzoncie sen już łśni
Zmęczenie też się podkrada
Zamykam mych powiek drzwi
I myśli do snu układam



Marzena Jaworska
Godło: „Ultra Sonata”, Warszawa
wyróżnienie w formie druku

O przerostach przedsionków i komór

Opowiadasz dużo o gorącym sercu
złożonym z dwóch przedsionków piekła.
Ciepło przewodzą ręce zakończone
kubkiem herbaty, przy którym rozmowa
klei się jak nierozpuszczony na dnie cukier.

Dla mnie jesteś prawdziwym bohaterem
historyjek z gumy Donald –
rozciągnięty w czasie przyklejasz się
do niewłaściwych rzeczy i miejsc, więc
mogę spokojnie poczekać aż skruszejesz,
przenieść pod paznokciem prosto
do jednej z komór, albo z zepsutą krwią
przepompować z przedsionka.

To właściwie wszystko,
co mogę teraz dla ciebie zrobić
w naszym otwartym układzie

krążenia.



Małgorzata Kotłowska
Godło: „Jadampapaje”, Szczecin
wyróżnienie w formie druku

Był jeszcze on (4.3.2022)

To był dzień, kiedy rysowałam drzewo
w wielkiej próżni.
Wypełniało już kartkę.
Drzewo pełne imion
u kruchych gałęzi
wyrastających z pnia,
w którym szumiały soki.

I wtedy mama
obok siebie i cioci
dorysowała mu miejsce.
Bo –wiesz –był jeszcze on.
Wujek. Zygmunt. Świętej pamięci.
Jego nagrobkiem były gruzy miasta.

Przyszedł na świat
w czasie ucieczki
zbyt wcześnie – też się spieszył,
jak wszyscy.
Był cudem. Potrzebował cudu.
Schronili się w Dreźnie
na poddaszu, potem w schronie.
Piękne straszne dni.
Dziadek nie mógł znaleźć
księdza, święconej wody,
babcia nie mogła znaleźć
słów i czerwonej wstążeczki.
Może to przesądziło.
Bo z nieba spadły tylko bomby.
I znikąd pomocy.
Choć rozpacz zna każdy obcy język.
Zachorował – umarł. Tam pozostał,

choć babcia wierzyła,
że błąka się z mgłą, szukając spokoju.

W pustym polu
napisałam więc wtedy
najładniej, jak umiałam
ZYGMUNT, dorysowałam
portret bobasa z wąsami Wałęsy
godnymi prawdziwego wujka.



Matylda Trojanowska
Godło: „Le Nuage”, Warszawa
wyróżnienie w formie druku

Rutyna

Być obok, tak rutynowo
Usiąść po nic konkretnego
Włączyć czajnik, małą lampę
I nie robić nic wielkiego
I utonąć w ciszy, w słowach
Niekończących się rozmowach

I to tyle w tym temacie

Dobrze jest sprzątnąć wieczorem
Nie jeden
A dwa kubki po herbacie



Krzysztof Przegiętka
Godło: „Pisanie ze słuchu”, Toruń
wyróżnienie w formie druku

SMS do ukraińskiej matki

Pamięci K. K. Baczyńskiego

Znów nic lepszego do roboty
Historia nam nie wymyśliła.
Jej lekcją dziś jest śmierci skowyt,
Ulicą - otwarta mogiła.

Uczymy się zabijać wroga,
Albo budować barykady.
Serca, by nie dosięgła trwoga,
Chowamy przed snem do szuflady.

Między gruzami się przewinę,
W piwnicy schowam się jak kot.
Nie, mam, jeszcze dziś nie zginę.
Choć śmierć się czai tuż o krok.



Zbigniew Piкуła
Godło: „Tycjan”, Majkowice
wyróżnienie w formie druku

Katyńskie wrzosa

Kiedy padł strzał – uklęły drzewa,
okrutnych chwil świadkowie niemi,
zamilknął ptak, co wśród nich śpiewał,
a ciała ich oddano ziemi.

Lecz nawet piach, co wniknął w usta
nie zdławi dziś pamięci krzyku.
Medalik, krzyż, od matki chustka,
a wkoło las i zwłok bez liku.

Ogromny dół wśród leśnej głuszy,
zanikły puls w zwiotczących ciałach,
sowiecki spych z łoskotem ruszył,
by wszelka wieść stąd wyjść nie śmiała.

Tragiczne to żołnierskie losy,
myśleli, że do domów wrócą...
Gałęzie brzoź, katyńskie wrzosa
żałobną pieśń codzienną nucą.



Andrzej Halicki
Godło: „Nastrojowo22”, Biała Podlaska
wyróżnienie w formie druku

starość

nie bierze kolejnego kota
nie kupuje nowych mebli
nie gromadzi książek
nie wymienia prawa jazdy
nie ma potrzeb przeszłości
używa słów „jeszcze”
bo „czasem” i „często”
znaczą to samo
potyka się o swoje ślady
bezzradnie układa myśli
w albumie
i ubranie wiekuistego użytku

karmi gorzkie żale nadzieją
nie
wychodzi z mody



Karol Darmoros
Godło: „Włóczykij”, Warszawa
wyróżnienie w formie druku

Luty/maj

Zachodzi majowe słońce nad Rospudą
w Mariupolu zachód piękniejszy,
bo nadmorski
ale nikt tam już nie pójdzie
azowska plaża zroszona minami
w głębi miasto ruinami stoi
promienie słońca przesłoniły rakiety
w podziemiach zatrzęsło strachem
zapadła ciemność nienawiści
zaszło już słońce pokoju
w Mariupolu dzieci widziały je w lutym



Aneta Jasłowska
Godło: „Księżycwieczoru”, Wrzosowo
wyróżnienie w formie druku

Sierota (*pantum*)

W czterech ścianach duszy pomiędzy myślami
świat runął w wypadku nocnej eskapady,
ktoś zabrał mi ojca oraz uśmiech mamy,
zostały wspomnienia, na asfalcie ślady.

Świat runął w wypadku nocnej eskapady
pod wpływem procentów urwał więź rodziny,
zostały wspomnienia, na asfalcie ślady
i smutne figurki ulepione z gliny.

Pod wpływem procentów urwał więź rodziny,
wytrącił nadziei ostatnie korzenie
i smutne figurki ulepione z gliny
rzucają po kątach rozżalone cienie.

Wytrącił nadziei ostatnie korzenie,
zgubiłam sens życia na zakręcie ciszy,
rzucają po kątach rozżalone cienie
tęsknoty dziecięce w płomieniach dwóch zniczy.

Zgubiłam sens życia na zakręcie ciszy,
ktoś zabrał mi ojca oraz uśmiech mamy,
tęsknoty dziecięce w płomieniach dwóch zniczy
w czterech ścianach duszy pomiędzy myślami.



Magdalena Szpunar
Godło: „Nienazwana”, Kraków
wyróżnienie w formie druku

Niech się sieją dobrzy ludzie

Jak już spotykasz
dobrych ludzi
to nie wiadomo
co z nimi począć

Niczego nie chcą
niczego nie oczekują
żadne w zamian
żadne coś za coś

Żadnego biznesu
żadnego interesu
i nic podskórnie

Może do kieszeni ich upychać
żeby za szybko
nie poszli sobie
może w szufladach ich umieścić
by zasiedzieli się tam
na stałe

A może w ramki ich oprawiać
żeby popatrzeć czasem sobie

Może posadzić ich
w ogródku
by każdą wiosną rozkwitali

Niech kwitną jak kwiaty
wydają słodkie owoce
a potem nasiona

I niech się sieją
i niech ich będzie
cała łąka



Marek Klamczyński
Godło: „Klon”, Sulejówek
wyróżnienie w formie druku

Gołębie serce

Codziennie rano budził gołębniki
swych delikatnych dłoni rozkwitem
by odfruwały aż pod nieba szczyty
mieszając serca z czystym błękitem

a potem patrzył uniesieniem czoła
jak nieustannie spadają na ziemię
kreśląc szerokie migotliwe koła
co kwitły w oku dnia przebudzeniem

jakby garść puchu rozsypał o świcie
ust rozdmuchaniem unosząc do góry
tak o nie walczył gdy ginęły skrycie
gdzieś za kotarą wschodzącej purpury

gołębie serce biło w nim falując
gdy w rozsypaniu spadały w podwórko
miarowym rytmem liczyło by ująć
dużego stada każde małe piórko

sypał im ziarna złociste strumienie
dolewał wody dokarmiając chlebem
by dziobiąc piły z misek orzeźwienie
ciąglym gruchaniem przywołując siebie

wieczorem skrzydła usypiał snu świecą
zamykał w klatek niepojętą głębię
z wielką nadzieją, że znów rano wzlecą
roztrzepotaniem jak serce gołębie...

Kategoria
- proza -
dorośli



Agnieszka Panasiuk

Godło: „Vesper”, Biała Podlaska

I miejsce proza

Najwierniejszy towarzysz

Październikowe babie lato z delikatnym podmuchem wiatru wpadło do prawie pustego salonu. Cieniutkie jak mgła pajęczne nici mogły zastąpić zdjęte z okien tiulowe firany. Wolały jednak tańczyć po lakierowanym parkiecie jak przybyłe tu przed nimi złote liście brzoź i klonów.

W pozbawionym mebli pokoju rozbrzmiewała muzyka godna koncertowej sali. Żywe mazurki i nostalgiczne polonezy odbijały się echem od modrzewiowych ścian dworku. Przy eleganckim fortepianie, jednym z pierwszych modeli wytworzonych przez Kralla i Seidlera na Marszałkowskiej w Warszawie siedziała eteryczna blondynka w podróżnym płaszczu. Grała z pamięci. Spakowane nuty krył jeden z kufrów załadowany wczorajszym wieczorem na wóz. Złociste rzęsy półprzymkniętych powiek muskał poranny promień coraz zimniejszego słońca. Nie był w stanie ogrzać bladej cery dziewczyny ani wywołać uśmiechu na wąskich, skupionych ustach.

Kobieta zdawała się być pochłonięta muzyką. Otaczający ją świat nie istniał. Nie była świadoma, że jej gra przyciągnęła do starego dworu nie tylko przyrodę. Pod oknem przycupnęły umorusane dzieci z folwarku. Brudne nosy i usmolone policzki z zaciekawieniem przytknęły do srebrnej szyby przygotowane by w każdej chwili dać nura w wiecznie zielony krzew bukszpanu.

Tymczasem słuchały koncertu, którego nie przerwało nawet wkroczenie carskich żołnierzy. Bładoniebieskie oczy dziatwy zamrugały łapczywie na widok błyszczących guzików wełnianych oficerskich płaszczy. Przy takich elegantach ekonom wydawał się byle obdartusem. Nerwowo poprawiał kołnierz swojej kurty widząc zniecierpliwienie na twarzach przybyłych. W końcu chrząknął znacząco. Melodia wygrywana na fortepianie umilkła brutalnie przerwana. Kobieta uniosła eleganckie dłonie znad klawiszy i hardo spojrzała na zebrane audytorium.

- Już czas panienko – wydukał ekonom, a do żołnierzy zwrócił się po rosyjsku. – Tylko te fortepiano zostało. Parobcy je w try miga... - zatarł dłonie i spuścił wzrok pod karcącym spojrzeniem panienki. Co on mógł? Powstanie

upadło. Pan trafił na Sybir. Dwór skonfiskowano dla nowego rosyjskiego naczelnika. Panienska winna się cieszyć, że ma się gdzie indziej podziac i Moskałe łaskawie pozwolili zabrac sprzęta. A ona nadal taka dumna i harda.

- Ćwiczę na nim codziennie rano – jak na zawołanie młoda kobieta z uniesioną głową wskazała na instrument. – To prezent papy na rocznicę ślubu z mamą. Jedyna po niej pamiątka. Stoi tutaj niezmiennie od dwudziestu lat...

- Nic nie trwa wiecznie – wtrącił carski oficer. – Mógłby tak stać w tym salonie i sto lat gdybyście...

- Poproszę o dziesięć minut. Chciałabym skończyć utwór – przerwała mu nieelegancko, ale uzyskała zgodę. W dworku ponownie rozległa się muzyka niczym pożegnalna pieszczota. Ostatni akord przebrzmiał cicho, prawie bezszelestnie, tak samo jak rodzinny dom bezszelestnie opuściła pianistka. Jej twarz nadal zdradzała skupienie.

- Panienko – zaczęła ją umorusana dziewczczynka w chuście na głowie. – Choć słońce świeci cośik mnie przez panienki muzykę bardziej deszczy by pasował. Na duszy tak żało i smutno. Chociały płakać...

- Łzy mogą płynac w duszy podobnie jak i po policzkach – wyjaśniła ze smutkiem kobieta. Parobcy ładowali na wóz fortepian. – Patrz! – wskazała na niebo. – Od zachodu ciemniej. Wieczorem możecie mieć tu prawdziwe „Preludium deszczowe” ...

Październikowe niebo nad Warszawą szczelnie zakryły szaro mleczone chmury kurzu, dymów i popiołów. Słońce zasepiło się w solidarności z kapitulującymi powstańcami. Smutku, rozpacz i bezsilności na ich młodych twarzach, twarzach, które widziały i przeżyły zbyt wiele nie zdołały rozweselić nawet delikatny promyk nadziei. Nadzieja już dawno została pogrzebana pod gruzami walczącego o nią miasta.

Zrujnowanymi, poszarzałymi ze zmartwienia ulicami stolicy ciągnęła procesja cywilów i ich powstańczego wojska. Przygarbieni, z lichym dobytkiem w tobołku, pod kawalkadą spojrzeń zwycięskiej armii niemieckiej powłóczyli nogami w kierunku Pruszkowa rozmyślając, co przewrotny los teraz im zaferuje. Na horyzoncie morze szarych gruzów jednoczyło się z mroczną poświatą nieba. Opuszczone ku ziemi głowy pokonanych dziwnie prostowały się i tężały skręcając w zgliszcza będące niegdyś eleganckimi kamienicami na Rozbracie. Z nieba płynęła rzewna, wprost płacziwa melodia okaleczonego fortepianu wygrywająca dźwięki powstałych

od sierpnia piosenek, a także starej „Czarnej sukienki”. Zaciekawieni wędrowcy i ich niemieccy przewodnicy zdenerwowani tą dziwną sytuacją bezskutecznie wypatrywali oczy w zamglonym od pyłu powietrzu. Szkielety kamienic zasnuwała mgła popiołów ze wszystkich wieków świetności Warszawy. Ktoś był jednak bystry.

- Mamo, patrz! – krzyknął pięcioletni chłopczyk pokazując palcem. – Tam jest jakaś pani.

Wzrok niemieckiego dowódcy podążył we wskazaną stronę. Wyburzona ściana jak w przekroju odsłaniała na drugim piętrze resztki pokoju, który przed laty musiał być pięknym salonem. Teraz nie pozostało z tej świetności nic prócz cudem zachowanego fortepianu, przed którym siedziała krucha dziewczęca postać.

Nie zważając na nikogo wygrywała czysto kolejne melodie jakby znajdowała się na scenie filharmonii, a nie w kapitulujących ruinach. Miast jedwabnej sukni i misternej fryzury ubrana była w stare palto narzucone na wakacyjną sukienkę. Okurzone włosy koloru dymu rozwiewał podmuch przeciągu.

Gdy kolejna grupa wychodźców żegnała miasto z otuchą po tak niezwykłym koncercie, a pianistka zaintonowała „Warszawiankę 1830 roku” niemiecki dowódca musiał zainterweniować. Jedna głupia dziewczyna może zniweczyć wypracowaną przez jego oddział karność tłumu. Wszedł na piętro niekompletnymi schodami i stając przy starym modelu Kralla i Seidlera odbezpieczył broń. Szczęk pistoletu wyrwał pianistkę z zadumy i gry. Ledwo dwudziestoletnia kobieta, której odebrano marzenia przetarła spiakaną twarz okurzoną dłonią zostawiając na policzkach rozmazane smugi. Nie grała tylko na pianinie. Grała całą sobą. Teraz jej młody świat się skończył. Niemiec patrzył przenikliwie zimnym wzrokiem, ale nie strzelił, co dodało dziewczynie odwagi.

- Jest w mojej rodzinie już ponad sto lat – pogładziła z czułością lśniąca klawiaturę klawiszy. – Przywiozła go tu moja praprababka, gdy odebrano jej rodowe włości. Stare dzieje, ale ... Ja też nie mogę go zostawić. Żołnierz zabezpieczył broń i schował do kabury. Jakimś cudem zrozumiał, co dziewczyna chciała mu przekazać. Mówiła wprawdzie po niemiecku, ale ważniejsze było, co wyczytał bez słów. Nie mógł odmówić niemej prośbie szarych, zmęczonych oczu.

- Wy dwaj! Rozładujcie ten wózek i chodźcie na górę – rozkazał dwóm mężczyznom ciągnącym toboły dwukółką.

W ciągu kwadransa fortepian i jego właścicielka odjeżdżali w kierunku Pruszkowa w tłumie nucącym „Warszawiankę” i pod zdziwionym wzrokiem

zwycięskich żołnierzy. Zza łożnianych chmur dało się dostrzec promienie złotej, polskiej jesieni.

Październikowe słońce przypomniało sobie o najpiękniejszych dniach lata. Wątlými promieniami obficie złociło jabłoniowe korony przydając słodczy dojrzewającym jeszcze ostatnim owocom. Nieliczne chmury sunęły delikatnie tuż nad horyzontem wypłowiałego nieba przysłuchując się ciepłej melodii. Na zrudziałej trawie tuż pod baldachimem z wielobarwnych liści w otoczeniu astrów i georginii trwał upojny koncert. Nostalgiczna melodia starego fortepianu od Kralla i Seidlera przynosiła wspomnienia o cudzie odrodzonej wiosny i spełnionego lata. Wielbiła bogactwo jesieni i przywoływała zimową nadzieję. Żaden z przechodniów zagubionej w miejskim zgiełku uliczki nie mógł oprzeć się urokowi dźwięków Vivaldiego i przystawał, choć na chwilę.

Zza parawanu karminowych liści dzikiego wina oplatających szczelnie płot niewiele dało się zauważyć, znacznie więcej usłyszeć. Wprawne oko dostrzegło jednak grę cieni na bladym obliczu, mleczny połysk długich włosów i zadumany blask oczu. Stonowana uroda kobiety zupełnie nie odpowiadała żywiłowej interpretacji pozwalającej na maestrię i dynamikę gry.

W jednej chwili dźwięki załamały się. Czyżby długie, szczupłe palce nie miały już sił, czyżby nieopatrznie ześlizgnęły się na niewłaściwy akord? O nie. Przed domem zaparkowała furgonetka. Pisk hamulców dorównywał piskowi klawisza.

- Jest cudowny – młody mężczyzna pogładził blat fortepianu od Kralla i Seidlera. – Chociaż nieco sfatygowany – stwierdził szybko, gdy paznokciem natrafił na ryse.

- Podobno został kupiony na wiele lat przed powstaniem styczniowym. Tak przynajmniej głosi rodzinna legenda – wyjaśniła pianistka z niepokojem przyglądając się szczegółowemu badaniu. – Prawdą jest, że babcia ocalała go z powstania i nie chciałabym, aby ... - nie dokończyła, gdyż strach o najgorsze paraliżował jej myśli.

- Ma w sobie prawdziwą muzyczną duszę. Uratuję go, chociaż będzie to trochę trwało i kosztowało – postawił diagnozę mężczyzna, na co dzień zajmujący się konserwacją starych instrumentów. Z dumą chciał przywrócić życie jednemu z pierwszych modeli.

- Proszę się nie spieszyć i zadbać o niego. Muzyka zawsze znajdzie

odpowiedni czas by dać nadzieję – dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, jak grający wśród liści promień słońca.

Kilka miesięcy później pełne nadziei pasażerki kompozycji Chopina niosły otuchę sąsiadom pogrążonym w pandemicznym lęku. Nadzieję na powrót do znanej i bezpiecznej normalności.



Danuta Urbańska

Godło: „Córka”, Warszawa

II miejsce ex aequo proza

MOJA GRAMATYKA

Mama umarła.

Zdanie pojedyncze, proste - podmiot, orzeczenie.

Jeśli jednak wyłączyć gramatykę, jego treść krzyczy czerwienią, nawet bez emocjonalnego *wykrzyknika* czy *wielokropka*.

Podmiot - **mama**. Pierwsza, najważniejsza osoba w życiu. Dawczyni. Sprawczyni. Ile by nie mnożyć *zaimków osobowych*, to wszystkie są odpowiednie. To dzięki **niej**, przez **nią**, za **jej** przyczyną pojawiłam się na świecie, zaistniałam. A teraz cierpię.

Jednak nie zawsze była mamą.

Najpierw była **dziewczyną** - *rzeczownik, rodzaj żeński*. Młoda **Krysią**, bo tak miała na imię - *imię własne, zdrobnienie od Krystyna* - mała szare oczy, lśniące ciemne warkoczki i swoje dziewczynskie marzenia. A te były zwyczajne - dobry mąż, dzieci i spokojne życie. Właśnie skończyła się okrutna wojna. Po latach mroku i dławiącego lęku ten spokój był **najistotniejszy-przymiotnik**, *stopień najwyższy*.

Była śliczna i nie mogła narzekać na brak konkurentów. Jednak, gdy poznała **tatę** - *rzeczownik, rodzaj męskoosobowy* - od pierwszej chwili wiedziała, że to **ten** - *zaimek wskazujący, rodzaj męski*. Ślub był skromny, powojenny. Za to nadzieje i radosna czułość ogromne, sięgające nieba. Gdy

po latach pytałam o najszczęśliwszy okres w jej życiu, bez namysłu wskazała na pierwsze lata małżeństwa.

Macierzyństwo okazało się trudnym wyzwaniem. Jak **Niobe** - *nazwa własna, mitologia grecka* - pogrzebała najpierw pierworodnego, a po nim trzymiesięczną córeczkę.

A potem pojawiłam się **ja** - *zaimek osobowy, pierwsza osoba*. Rozpieszczana bez miary, uwierzyłam, że świat istnieje tylko dla mnie i moich potrzeb.

Gdy urodziła się **siostra** - *rzeczownik, rodzaj żeński* - boleśnie przekonałam się o swojej pomyłce. Niczym zdetronizowana królowna z niechęcią spoglądałam na wrzeszczący tobolek, który zabrał mi uwagę i miłość rodziców. Gdy podrosła odpłacała mi **pięknym za nadobne** - *zwiazek frazeologiczny*.

I musiały upłynąć lata, abyśmy zawarły rozejm, który trwa do dzisiaj.

Gdy dorastałyśmy mama zawsze była przy nas. Rano budziła do szkoły, potem przygotowywała pyszne posiłki, których smak wciąż pamiętam. Kładła się ostatnia. Jak pszczoła robotnica - ciągle zajęta, zatroskana, wszechobecna.

Była jak **powietrze** - *rzeczownik, rodzaj nijaki* - nie do końca doceniana, a przecież niezbędna do istnienia.

To ona zaszczepiła we mnie **miłość do książek** (*dopełnienie bliższe*). Na każde urodziny, pod choinkę, a często i bez okazji dostawałam kolorowe cuda. Najpierw baśnie, potem powieści młodzieżowe, wreszcie historyczne i podróżnicze. Pochłaniałam wszystkie z łapczywą żarliwością. Ona też - w nielicznych chwilach wytchnienia (od sprzątania, prania, gotowania) siadała z książką. Zaczytywała się w literaturze skandynawskiej.

Gdy dorosłam niewiele się zmieniło. Mama była na każde zawołanie, służąc radą, bogactwem doświadczenia, wszelką pomocą. Nie zawsze to doceniałam.

Padło między nami wiele słów gorzkich, niepotrzebnych. Mama wybaczyła mi, wiem o tym. Jeszcze tylko ja muszę wybaczyć sobie, bo czasu nie cofnę.

Dopiero pod koniec jej życia role się odwróciły. To ja stałam się opiekunką, odgadującą jej potrzeby. Była pokorną pacjentką. Na jej twarzy gościł uśmiech, ukrywający paroksyzm bólu. I zawsze towarzyszyły mu słowa, wypowiedane z miłością: moje **dziecko**. *Rzeczownik, rodzaj nijaki*. **Mateńka**. *Rzeczownik, rodzaj żeński, zdrobnienie od matka*.

Orzeczenie: **umarła**. *Czasownik, czas przeszły dokonany*.

Synonimy: odeszła, opuściła ten świat, przeniosła się do wieczności. A ja zawodzę na podobieństwo płaczki - zostawiła mnie. Porzuciła, osierociła.

Jak mam teraz żyć - *bezokolicznik* - bez **tej** - *zaimek wskazujący, rodzaj żeński* - która zawsze była, a teraz odeszła?

Jak poradzić sobie z tysiącem drobiazgów, które mi **ją** - *zaimek osobowy, trzecia osoba* - przypominają? Mówiła czasem okrutnie: ten zegar, dywanik, filiżanka - *wyliczenie* - będzie ci o mnie przypominać, gdy mnie już nie będzie. Żyymałam się wtedy. A teraz nie mam już łez i gardło zaciśnięte w supeł. Ale nie tylko przedmioty. W posępnym korowodzie skojarzeń krążą: zapachy, gesty, **słowa** - *rzeczownik nieożywiony, liczba mnoga*. Całe frazy i strzępy słów dźwięczą i wracają wspomnieniem, rozrywając piersi.

Jak mogłaś mi to zrobić, mamu? **Mamusiu** - *wołacz, ostatni przypadek deklinacji*.

Najtrudniej było porządkować rzeczy. Buty prężące się na baczność w szafce w przedpokoju. Na wieszakach w karnym rządku - sukienki, bluzki, garsonki. W każdej z nich cię widziałam. Na spacerze, za stołem. Roześmianą lub zamyśloną.

Zapobiegliwie przygotowałaś sobie nawet strój do **trumny!** *Rzeczownik, rodzaj żeński, nieżywozny, konkretny*. Dla mnie wówczas zupełnie *abstrakcyjny*.

W kredensie ulubione bibeloty, serwisy odświętne, wyciągane na rodzinne uroczystości. Przetrwały bez uszczerbku, choć zdawały się takie **kruche**. *Przymiotnik, synonim*: delikatny nietrwały. A przecież zostały, gdy ciebie już nie ma.

Mama umarła.

Nie! *Partykuła przecząca*.

Mama przecież nie umarła. Żyje i żyć będzie - *czas przyszły, złożony* - dopóki ja istnieję. W moim sercu i wspomnieniach, w okruchach pamięci, paciorkach słów, w niezliczonych drobiazgach, w pełnym słońcu i szarości zmierzchu...

Podobno: **Czas leczy rany**.

Podmiot: **czas** - *rzeczownik, rodzaj męski, abstrakcyjny*.

Leczy - *czasownik, czas teraźniejszy, tryb oznajmujący*.

Rany - *rzeczownik, liczna mnoga, niemęskoosobowy*.

Dobrze byłoby wiedzieć, **ile** (*zaimek liczebnny*) tego czasu potrzeba? Jak **bardzo** (*przysłówek*) skuteczna jest ta terapia? I czy pomoże na rany **głębokie** (*przymiotnik, stopień równy*) jak otchłań piekła?

I tyle.

Zagubiona i udręczona próbowałam przy pomocy gramatyki oswoić i zrozumieć niepojęte.

Próbowałam...



Tamara Żółwińska i Aleksandra Żółwińska

Godło: „Żółtwice”, Stargard

II miejsce ex aequo proza

Spadek

Naszym przodkom poświęcamy

Odebrałam świadectwo ukończenia liceum i właśnie siedziałam w kawiarni czekając na Klaudię i czytając list polecony, który otrzymałam dzień wcześniej. Z głośników płynęła piosenka Żywiołaka „Czarodzielnica”. Nie dziwiło mnie to, w końcu był 30 kwietnia, Noc Walpurgii. W kawiarni unosił się zapach konwalii i wanilii, a także dziwna magiczna aura. Zamówiłam pavlową, mój ulubiony deser.

- Ma pani świetny gust – powiedział kelner stawiając przede mną delikatną bezę pod śniegową chmurką bitej śmietany. - Ponoć w 1926 roku przygotowano ten wspaniały deser dla wielkiej baleriny Anny Pawłowej – kontynuował kelner jednym tchem.

- Czemu nie, kiedyś wielka Pawłowa, dziś Ola ze Stargardu – rzekłam z uśmiechem puszczając oczko do kelnera.

Sączyłam kawę czytając raz jeszcze odebrany poprzedniego dnia list. Z błęgiego stanu wyrwały mnie słowa Klauddii:

- Cześć Oluś, dużo się spóźniłam?

- Niewiele – odpowiedziałam ironicznie dając Klauddii do zrozumienia, że powinna przyjść pół godziny temu.

- Oj, to dobrze. Pokaż świadectwo! – Klauddia złapała granatową teczkę z dokumentami.

- Masz same piątki i szóstkę z biologii, rewelacja – wrzeszczała na pół kawiarni.

- W sumie to te oceny nie mają większego znaczenia. Matura się liczy. Rozpocznie się po majówce – odrzekłam bez entuzjazmu.

- Jakie wybrałaś rozszerzenia? – ciągnęła temat Klaudia.

- Biologię i chemię – rzekłam.

- Chcesz iść na medycynę. W sumie nie dziwię. Te twoje ręce, które leczą, trzecie oko i w ogóle – rozwijała temat Klaudia obficie gestykułując.

- Nie wiem jeszcze, ale na pewno chcę studiować coś związane z biologią, może medycynę, może kosmetologię, zastanawiam się też nad dietetyką i fizjoterapią – mówiłam wpatrując się w kelnera, który właśnie postawił przed Klaudią pachnący palonym cukrem krem *brulee* oraz kawę *latte*. – Tak w ogóle, to nie chcę gadać o maturze i studiach, bo nie wiem jak napiszę maturę i nie jestem jeszcze zdecydowana na kierunek studiów. Mam dla ciebie propozycję wyjazdu na Ukrainę. Dostałam list od znajomej mojej mamy z Ukrainy, która napisała do mnie, że otrzymałam spadek. Rozumiesz, ja otrzymałam spadek!

- Co? Jaki spadek? Ty masz tam rodzinę? – pytała zdziwiona Klaudia, wpatrując się we mnie uważnie.

- Mam tam rodzinę. A właściwie miałam ciotkę. To dość skomplikowane! – powiedziałam chcąc urwać wywody rodzinne, ale Klaudia nie ustępowała:

- Opowiadaj, proszę, ciekawie się zapowiada.

- Mój prapradziadek Alojzy pochodził z Przyborowa pod Żywcem, a moja praprababcia Bronia z Żywca. W 1914 roku dziadek zaciągnął się do Legionów Piłsudskiego, walczył do 1918 roku. Po 1920 roku, jako osadnik wojskowy otrzymał ziemię na Ukrainie. Powadził stadninę koni. W czasie II wojny w roku 1940 cała rodzina mojego prapradziadka została wywieziona pierwszą zsyłką lutową do Workuty na Syberię. Została tylko córka prapradziadka Pola, która wyszła za mąż za Ukraińca. Po wojnie urodziła córkę Olenę, moją ciotkę, która przepisała mi cały swój majątek – rozprawiałam podekscytowana.

- Tobie? Niby dlaczego? Nie miała bliższej rodziny? – zapytała Klaudia powątpiewając.

- Nie, była samotną panną. Nigdy nie widziałam cioci Oleny, ale z opowieści mamy wiem, że była na moich chrzcinach. Ponoć cały czas mnie nosiła, śpiewała słowiańskie pieśni i podarowała mi lunulę z brązu, którą zawsze noszę. Lunula to prasłowiański amulet w kształcie księżyca, symbol kobiecości i magii – zagłębiałam się w opowieść.

- No, to nie ma co się zastanawiać, jedziemy! – wykrzyknęła Klaudia.

- Ostatni egzamin mam 15 maja, potem możemy jechać na cały czerwiec na Ukrainę. Dopiero w lipcu są wyniki matur – rzekłam i odczułam wewnętrzną radość. – Mój pradziadek Bolek, prosił, abym zobaczyła, czy ich dom jeszcze stoi. Chce też, żebym mu przywiozła ziemię...

- Zapowiada się ekscytująco – śmiała się do siebie Klaudia nie słuchając tego, o czym mówię.

Dźwięk budzika zerwał mnie na równe nogi. Zbierałam się w pośpiechu, chciałam jak najszybciej znaleźć się na dworcu. W ostatniej chwili wrzuciłam do plecaka powieść Odojewskiego „Zasypie wszystko, zawieje”. Wiedziałam tylko, że jest to książka o stosunkach polsko-ukraińskich, przynajmniej tak mówiła mama.

Na dworzec dotarłam przed czasem. Klaudii jeszcze nie było. Postanowiłam kupić dwie butelki wody i jakieś drobne przekąski. W tym czasie nadeszła Klaudia, jak zwykle wypacykowana i złana perfumami, że czuć było w całej poczekalni. Miała ze sobą mnóstwo walizeczek, kuferków i saszetek.

- No to jedziemy! – krzyknęła Klaudia, bo właśnie wjechał na peron pociąg do Lublina. Zajęłyśmy nasze miejsca, naprzeciwko siebie przy oknie. Pociąg ruszył i od razu poczułam głód. Wyjęłam podróżny zestaw śniadaniowy mojej mamy: bułki z masłem, pomidory i jaja na twardo. Mama uważa, że nie ma podróży bez jajek na twardo. Coś w tym jest, bo ze smakiem zjadłam śniadanie i pogrążyłam się w lekturze. Proza Odojewskiego pochłonęła mnie na dobre. Ludobójstwo na Kresach mnie przeraziło. Mijaliśmy miasta, wioski, osady. Migwały w oknie lasy, pola, budynki, a ja trwałam zatopiona w lekturze. Pochyliłam się nad historią dwóch kuzynów, polskiego dziedzica – partyzanta oraz ukraińskiego watażki na tle II wojny światowej. Rozważałam, oceniałam... Zastanawiałam się jak wojna i najeźdźcy, Niemcy i Sowietci mogli tak podsycić nienawiść w dwóch narodach od wieków żyjących obok siebie. Obudzili demony wojny...

Do Lublina dojechaliśmy przed czternastą. Byłam bardzo zmęczona, a jeszcze przed nami było tyle godzin jazdy. Dalej podróżowałyśmy autobusem międzynarodowym z Lublina do Kowla. W drodze czytałam powieść, nie mogłam się od niej oderwać. W Chełmie wsiadło starsze małżeństwo, pan miał ciemny kaszkiet na głowie i trzymał dość sporą szmacianą torbę.

Pani miała na sobie lekko zniszczony płaszczyk i filcowy kapelusik. Pan usiadł obok mnie, zaś pani wcisnęła się obok Klaudii, która pogrążona w słodkiej drzemce nawet nie zauważyła, że drobna staruszczyzna usiadła obok niej.

- Dobryj deń, dytyno - rzekł staruszek i zdjął czapkę.

- Dzień dobry – odpowiedziałam zmieszana.

- Polka? – zapytał z uśmiechem staruszek i się ożywił.

- Tak, jadę wspólnie z koleżanką w rodzinne strony, otrzymałam spadek po cioci – relacjonowałam.

- Oj sporo tu polskich pamiątek, zabytków, cmentarzy. Jest co oglądać, jak chociażby piękne zamki magnackie. Jedźcie do Kamieńca Podolskiego, tam jest wspaniała twierdza albo do Krzemieńca, tam jest Muzeum Juliusza Słowackiego – opowiadał staruszek.

- Świetnie pan mówi po polsku – rzekłam z podziwem.

- Ja jestem Ukraińcem, ale moja żona jest Polką, szlachcianką z Głębockich. Dzień, w którym ją poznałam to najcudowniejszy dzień mojego życia. Oboje już przekroczyliśmy dziewięćdziesiąt lat. Przeżyliśmy głód, II wojnę, ludobójstwo, wiedzieliśmy sceny, o których chciałoby się zapomnieć, czasy komuny i okres raczkującej demokracji. Tu zawsze było ciężko, ale razem w miłości można wszystko pokonać - mówił staruszek drżącym głosem.

- O, czytasz Odojewskiego, świetna książka. Pamiętaj tylko, że świat jest wielki, a ludzie na nim rozmaici, w każdym narodzie są dobrzy i źli, mądrzy i głupi, piękni i brzydki – ciągnął dalej starszy pan patrząc mi głęboko w oczy.

Po tej rozmowie przysnęłam.

Obudziłam się w Kowlu, kiedy trzeba było wysiadać z autobusu. Wzięliśmy swoje rzeczy z luku bagażowego i udałyśmy się na dworzec. Przed gmachem dworca znajdował się niewielki targ. Na murku sprzedawcy porozkładali swoje towary. Między sprzętem audio, naczyniami i obuwem swoje miejsce znalazły suszone ryby, przetwory, domowe wypieki. Dworzec w Kowlu zachwyił mnie swoim przepychem - marmurowe ściany i podłogi, bordowe, aksamitne zasłony jak w operze w Poznaniu. Pomyślałam, że to kraj skrajności – jedzenie sprzedawane na murku i marmurowy dworzec z rzeźbami i fontannami. Zbliżałyśmy się do kresu naszej podróży. Jeszcze tylko musiałyśmy dostać się z Kowla do Iwanicz, małego wołyńskiego miasteczka, w którym mieszka znajoma mojej mamy, a u której miałyśmy się zatrzymać. Pociąg podjechał. Weszłyśmy do wagonu z drewnianymi ławkami. Kiedy pociąg ruszył, nie wiadomo skąd pojawiły się dwie kobiety z

torbami. Sprzedawały domowe czebureki z mięsem, takie smażone pierogi, ponoć przysmak Tatarów Krymskich. Zapach roznosił się po wagonie. Kupiłyśmy z Klaudią po dwa pierogi i rozkoszowałyśmy się ich smakiem. Na dworcu w Iwaniczach czekała na nas pani Swieta, znajoma mamy, nauczycielka matematyki w pobliskiej szkole.

- Witajcie kochane, jak minęła podróż? – pani Swietka przytuliła czule nas obie i zaraz dodała surowo:

- A jak matura? Mam nadzieję, że matematyka dobrze napisana?

Pomyślałam, że nauczyciele są jednakowo surowi pod każdą długością geograficzną. Szybko dotarłyśmy do domu pani Swiety. Był to domek jednorodzinny ze spadzistym dachem, pomalowany na niebiesko zgodnie z tutejszymi trendami. Pod oknem rosły bordowe malwy, a przy schodach mięta. We wnętrzu panował nieskazitelny porządek jak w laboratorium. Na ścianach w salonie powieszono były dywany. Trochę mnie to zdziwiło, ale cóż, co kraj to obyczaj. W rogu każdego pokoju znajdowały się ikony przykryte rucznikami, a na nich czarne i czerwone hafty prasłowiańskie oznaczające życie i śmierć. Usiedliśmy przy ogromnym stole, my dwie, pani Swieta oraz jej dwaj synowie Igor i Taras. Klaudia nie spuszczała wzroku z przystojnego Tarasa. W końcu kopnęłam ją pod stołem, aż syknęła z bólu i spojrzała na mnie wzrokiem bazyliuszka. Nasza gospodyni podała nam pielmieni, małeńkie pierożki nadziewane mięsem i cebulą. Potrawa pochodzi z Rosji, a konkretnie z Syberii, wyborna z odrobiną octu i pieprzu, palce lizać...

- Olu, jutro z rana wybierzemy się do Pawliwki do domu twojej ciotki, mam klucze i wszystkie dokumenty – przerwała milczenie pani Swietka.

- A czy mogłybyśmy najpierw pojechać do miejscowości Witosówka niedaleko Trembowli? – zapytałam. – Tam osiedlił się w 1921 mój prapradziadek Alojzy, tam urodził się mój pradziadek Bolek, który prosił, żeby sprawdzić, czy stoi jeszcze ich dom? - kontynuowałam.

- Oczywiście, że pojedziemy, ale nie spodziewajcie się, że zastaniecie tam jakieś zabudowania. Wioski polskich osadników wojskowych zostały zniszczone lub przerobione na kołchozy – powiedziała ze smutkiem pani Swietka.

Rano zaraz po śniadaniu wyruszyłyśmy w drogę. Jechałyśmy ostrożnie, bo drogi powiatowe na Ukrainie nie są w najlepszym stanie.

Przypomniały mi się opowieści pradziadka Bolka o dzieciństwie spędzonym w Witosówce, stadninie koni, którą prowadzili prapradziadkowie, pierwszej jego miłości, ślicznej czarnowłosej Ukraince Lesi, szkole, wyjazdach do Trembowli i o nocy 10 lutego 1940 roku, kiedy ostatni raz widział dom i

rodzinne strony. Jechaliśmy już jakiś czas. W końcu pani Swietka wjechała w las i dotarła do maleńkiej wioski, która powstała na miejscu dawnej polskiej osady. Wiedziałam, że w domu moich prapradziadków za czasów komunistycznych była rozlewnia mleka. Miejscowi wskazali nam miejsce dawnego kołchozu i dom, w którym rozlewano mleko.

Na skraju wioski stała ruina zarośnięta chaszczami. Dachy już niestety nie było. Weszłam do środka, wały się tam śmieci, deski, cegły, rosły lebioda i perz. Nic nie wskazywało, że mieszkała tu kiedyś polska, kochająca się rodzina. Przymknęłam oczy i widziałam obraz, który tak często przywoływał dziadek Bolek – ciemną, zimną noc, żołnierzy NKWD walących do drzwi, popłoch w czasie ubierania się i niepewność, co będzie dalej. Co czuł pradziadek Bolek, siedemnastoletni wówczas chłopiec jadąc na wodzie i widząc swój dom oraz psa Wiernusia ostatni raz? Z zamyślenia wyrwał mnie głos Klaudii:

- Olu, wszystko w porządku? Możemy jechać dalej?

Zrobiłam kilka zdjęć, ale wiedziałam, że nie pokażę ich dziadkowi. Wyjęłam z torby parciany woreczek, który dał mi pradziadek Boles. Wsypałam do woreczka ziemię. Domyśliłam się, do czego mu potrzebna ta ziemia... Ziemia dzieciństwa, pierwszej miłości, bez troski, tęsknoty. Czułam się dziwnie, jakbym była pogrążona we śnie.

Wsiadłam do auta, na siedzeniu leżała książka Odojewskiego. Przypomniały mi się słowa z powieści, tak bardzo pasujące do miejsca i chwili: „Na spotkanie szczęścia iść należy z czystym sumieniem i nigdy nie oglądać się za siebie, gdy wszystko już zostało zmięte i podeptane” oraz słowa starego Ukraińca, który przed siedemdziesięcioma laty pokochał ponad życie polską dziewczynę: „Świat jest wielki, a ludzie na nim rozmaici, w każdym narodzie są dobrzy i źli, mądrzy i głupi, piękni i brzydcy”.

Jechaliśmy do Pawliwki w milczeniu...

Do Pawliwki, dawnego Porycka dotarliśmy późnym popołudniem. Słońce chyliło się ku zachodowi. Pani Swieta jechała wolno samochodem, abyśmy mogły dostrzec zabytki. Przejeżdżaliśmy obok pięknej biało-niebieskiej cerkwi, obok starej drewnianej synagogi z XVII wieku oraz ruin kościoła. W pewnym momencie pani Swieta zatrzymała się pod starym cmentarzem.

- One tam są i pomnik też- rzekła cicho.

- Co tam jest? – zapytała Klaudia.

- Groby zamordowanych i pomnik - ciągnęła Swieta. – Wołyń to ziemia trudnej jedności, szczególnie dla dzieci mieszanych małżeństw. Mój tata był Polakiem, a mama Ukrainką. Oleny rodzice też byli mieszanym małżeństwem – Swieta urwała swoją wypowiedź i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

Do domu mojej ciotki trzeba było jechać polną drogą, a potem kawałek przez las. Nagle naszym oczom ukazał się duży drewniany dom na kamiennej podmurówce. Pomyślałam przez chwilę, że tak mógł wyglądać dworek w Soplicowie „z drzewa, lecz podmurowany”. Obok domu znajdował się ogromny ogród z niezliczoną ilością ziół, krzewów i drzewek owocowych. Chodziłam alejkami i rozpoznawałam zioła - mięte, oregano, melisę, bazylię, lulek czarny, hyzop lekarski, piołun, naparstnicę. Cały ogród przepojony był zapachem lawendy, wciągałam powietrze zachwycona i oszołomiona. Ale to, co zobaczyłam wewnątrz domu przerosło moje najśmielsze oczekiwania. Obok kuchni znajdowało się pomieszczenie przypominające starą aptekę. U powały zwisały wiązki suszonych roślin, w pojemnikach, menzurkach, buteleczkach piętrzyły się oleje, mikstury, napary odwary, nalewki. Na wielkim drewnianym stole leżały książki w języku polskim, ukraińskim i angielskim. Wzięłam jedną z nich do ręki, przeczytałam nazwisko autora – Olena Iwaniuk. Spojrzałam na panią Swietę pytającym wzrokiem.

- Jak już wiesz Olu twoi prapradziadkowie zostali wywiezieni na Syberię 10 lutego 1940 roku. Została tylko córka twojego prapradziadka Pola, a siostra pradiadka Bolka, która wyszła za mąż za Ukraińca – Romana Iwaniuka. Pola zaczęła interesować się ziołami i ich leczniczymi właściwościami. Szybko stała się miejscową zielarką, znachorką, szeptuchą. Musiała się z tym kryć przed władzami sowieckimi. Swoje umiejętności i wiedzę przekazała córce, a twojej ciotce Olenie. Olenka ukończyła studia zielarskie. Pisała książki, prowadziła badania, zajmowała się ochroną przyrody. Jest znana na Ukrainie. Pamiętam, kiedy wróciła z twoich chrzcin, powiedziała, że kiedyś ty zajmiesz jej miejsc. Podarowała ci lunulę swojej mamy Poli. Ona wiedziała, miała to trzecie oko i intuicję więdźmy... Jestem szczęśliwa, że miałam taką wspaniałą przyjaciółkę, choć dzieliło nas dwadzieścia lat różnicy wieku. Tu jest list od ciotki dla ciebie – wrzuszona Swietka podała mi zaklejoną kopertę i ukryła twarz w dłoniach.

Usiadłam na ganku z kubkiem orzeźwiającej, świeżej mięty, otworzyłam list od ciotki. Podeszła do mnie Klaudia i zapytała:

- Co zrobisz z tym domem?

- Jeszcze nie wiem, co zrobię z domem, ale już wiem, co chcę studiować – zielarstwo i fitoterapię - odrzekłam stanowczo.

- Nie mów, że chcesz zostać ukraińską szeptuchą! – Klaudia spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

- Może... - odpowiedziałam tajemniczo i zaczęłam czytać list od ciotki:

„Droga Olu! Przekazuję Ci wszystko, co mam i co jest mi najdroższe. Chciałabym, aby w tym miejscu powstała stacja przyrodnicza dla studentów z Polski i Ukrainy. Aby każdy mógł...”.

Agnieszka Góra-Stępień

Godło: „Jednorożec”, Lublin

III miejsce proza

Galera **[reportaż]**

Na ten szczególny dzień córka Helena wyprasowała ojcu Franciszkowi najlepszą koszulę. A działo się to dnia 13 listopada 1944 roku, w siedzibie Rządu, w mieście Lublinie. Z głośnika radiowego rozbrzmiewał głos spikera radiowego nadającego program z wagonowego studia: *Hallo! Tu Polskie Radio Lublin!*. Franciszek stał przy oknie. W odbiciu w szybie widać było jego pociągniętą twarz i wysokie czoło, przez przeżycia wojenne wyglądał na starszego niż wskazywałyby na to kalendarz. A miał 51 lat. Przez okno patrzył na miasto podnoszące się pomału z wojny. Poranna rozmowa z rodziną szybko zeszała na temat dzisiejszej uroczystości i wojennych losów dzieł Matejki. Nagrodę 2 milionów marek oferowali Niemcy za samo wskazanie miejsca ukrywania obrazów. Mimo usilnych poszukiwań Niemcy obrazów nie odnaleźli. - A one były w naszej stodole - mówiąc „naszej”, Franciszek miał na myśli Tabory Miejskie, którymi kierował. Niespełna miesiąc temu, w świetle kamer „Bitwa pod Grunwaldem” i „Kazanie Skargi” zostały wydobyte z kryjówek, a za chwilę miało odbyć się uroczyste przekazanie dzieł narodowi. - Dobrze wyglądasz - żona spojrzała na Franciszka i poprawiła kołnierzyk. A oczami wyobraźni zobaczyła męża z czasów sprzed wojny: młodego, eleganckiego, w ciemnym garniturze, pod krawatem, z melonikiem i laseczką. Nieraz wracała pamięcią do tamtych czasów i wspominała dawne lata. Franciszek pochodził z Kielecczyny, z dość zamożnej rodziny, gdyż ojca Franciszka stać było, żeby wysłać syna na naukę do Petersburga. Po szkole, z nakazem pracy Franciszek trafił w okolice Mińska, gdzie z żoną kupili posiadłość. Nieraz Antonina wędrowała myślami do tamtych obrazów: - A pamiętasz te stawy i pawie koło Mińska? - przywoływała wspomnienia. Pamiętał.

- I co było dalej? Jak dziadek trafił do Lublina? - pytam ich wnuczkę Barbarę. Na co mi odpowiada: - I jak Armia Czerwona szła, jak rewolucja

1 <https://teatrnn.pl/leksykon/artykuly/radio-w-lublinie-19441945-pszczolka/>, [dostęp: 16.07.2022].

była, to dziadek i babcia, jak to się mówi, „z torebką w rękę” uciekli do Lublina. I stąd znaleźli się na terenie Lublina. I tutaj się osiedlili - dodaje.

Franciszek został urzędnikiem Magistratu. Razem z nominacją na kierownika Taboru Miejskiego dostał służbowy dom z ogrodem na terenie Taboru, gdzie były ukryte dzieła Matejki. - Dziadek przez te cztery lata siedział, praktycznie jak na bombie, bo nie wiedział, co się może wydarzyć - dodaje jego wnuczka - mógł na niego donieść któryś z pracowników, wiele rzeczy mogło się zdarzyć - dodaje. Na szczęście się nie wydarzyły. 13 listopada 1944 na zaproszenie dostojników PKWN Franciszek z rodziną udali się do siedziby PWKN i słuchali jak Aleksander Rafałowski mówi:

- Obywatele patrioci, których nazwisk ze względu na bezpieczeństwo ich rodzin przebywających dotychczas pod okupacją niemiecką podać w chwili obecnej nie możemy, lecz których wszyscy tu przytomni znamy, przekazują w ręce PKWN, jako prawowitego Rządu Rzeczypospolitej, bezcenne dzieła Jana Matejki, pozostające dotychczas w ukryciu pod ich opieką i ocalone dzięki ich osobistemu bohaterstwu i poświęceniu, jako własność narodowa ku wiecznej pamięci, nauce i kulturze przyszłych pokoleń. Dwa wiekopomne płótna „Bitwa pod Grunwaldem” i „Kazanie Skargi” stają się znowu własnością Polski, a pieczę nad nimi obejmuje Rząd.²

- Zapamiętaj to sobie, raz na zawsze, Heleno: twój ojciec jest jednym z tych bohaterów - usłyszała córka Franciszka. Serce biło jej równie mocno jak te trzy i pół roku wcześniej, wiosną 1941 roku.

Trzy i pół roku wcześniej: Od jakiegoś czasu turkot kół każdego wozu wjeżdżającego na teren Taborów Miejskich, zwykle przyprawiał Helenę o mocniejsze bicie serca, dlatego wybiegła z powozowni, kiedy znowu jej uszu doleciał podobny hałas. Wóz wjechał przez bramę i zatrzymał się. - Tato! - Helena rozglądała się za ojcem. Zdaje się, że był w stajni, kiedy z wołaniem córki, nagle usłyszał swoje nazwisko. - Panie GALERA! - zawołał mężczyzna idący już w jego kierunku. Franciszek gwałtownie się obrócił. - Roman, a ty tutaj? - zobaczył znajomą twarz Romana Pieczyraka. - A co do nas sprowadza Naczelnika? - spytał. Pieczyrak był Naczelnikiem Wydziału Gospodarczego Zarządu Miejskiego w Lublinie. Znali się z Galerą z Magistratu. Galera był teraz kierownikiem Taborów. Kiedy po latach spytałam wnuczkę Galery, czym był Tabor Miejski, odpowiedziała mi: - A tabory, to były różne dorożki, którymi był wożony prezydent, czeladnicy w mieście. Cała komunikacja

2 Za: Ta ziemia od innych droższa - Jan Karol Wende, s. 137-138

miejska to była, jak to się mówi i w związku z tym mój dziadek tam mieszkał.

Teren Taborów Miejskich był dość spory, mieścił się przy ulicy Elektrycznej w Lublinie. - Chodźmy na bok porozmawiać - zaproponował Galera, kiedy odwiedził go wiosną 1941 Roman Pieczyrak. Ich rozmowę zagłuszał hałas ze stajni. - Chodźmy - Galera poszedł przodem. Minęli klomb, stodołę. - Spójrz, trawa wzeszła - powiedział Galera, kiedy przechodzili obok zieleniejącego się placyku. Dalej szli kawałek wybrukowaną drogą przy stajni, skąd widać było ścieżkę do domu i ogród warzywny. - Przed wojną tu było, ech... - westchnął Galera. Przez chwilę nic nie mówił, zrobił kilka kroków, widać stąd było kuźnię, Franciszek otworzył drzwi: - Zapraszam - wszedł pierwszy do pomieszczenia, w którym mieściło się biuro, a obok dom mieszkalny.

- Franciszku, pozwól, że przejdę do sprawy - powiedział Pieczyrak. - Chcielibyśmy przewieźć do Taborów i ukryć tu pewną „rzecz” - a mówił w sposób taki, który od razu dał do myślenia Franciszkowi, mówił z powagą, więc i „rzecz” musiała być ważna.

- Tak, rozumiem - powiedział głośno Galera.

- Okupant nie może się o tym dowiedzieć.

- Panie Naczelniku, rozumiem - powtórzył Galera i bez wahania zgodził się na udział w tajemniczym zdaniu, dlatego Roman Pieczyrak mówił mu dalej: - „Rzecz” tę należy zabrać z Muzeum - zaznaczył. Muzeum Lubelskie mieściło się wówczas przy ulicy Narutowicza 4. - Jest ciężka, waży ponad tonę, rozmiary ma również spore. Potrzebny będzie długi wóz, najlepiej drabiniasty, bo wtedy pakę będzie łatwiej zamaskować, a na wierzch położymy meble i sprzęty domowe, by upozorować przeprowadzkę. Pieczyrak szybko mu wyjaśnił, że na żądanie gubernatora dystryktu cały gmach Instytutu Lubelskiego przy ulicy Narutowicza ma być do świąt wielkanocnych opróżniony i oddany na potrzeby Niemców. Niemcy mieli plan na to miejsce: muzeum i biblioteka. Zresztą zbiory gromadzili już od przeszło roku. Około ośmiuset tomów książek wciąż czekało na segregację, dlatego Muzeum Lubelskie trzeba było jak najszybciej opróżnić. - Pewną „rzecz” chcielibyśmy ukryć w Taborach.

- Przewieźć „rzecz” proponuję po południu - zawiesił głos Galera i podał mu szklanekę wody.

- I najlepiej byłoby, gdybyś sam wystąpił w roli woźnicy. Im mniej ludzi weźmie w tej akcji udział, tym lepiej - powiedział Pieczyrak, podnosząc szklanekę z wodą.

Galera też napił się wody, a potem mu odparł: - Postaram się, żeby w Taborach nie było wtedy nawet stróża. Ale sam, jako woźnica nie

powiniennem występować - zwrócił uwagę. - Taki nadmiar pilności ze strony kierownika łatwo mógłby wzbudzić podejrzenia. A poza tym, ktoś musi czuwać w Taborach, żeby nie zdarzyła się jakaś niespodzianka. Ponieważ tu mieszkam, to i najlepiej będzie, jeśli sam dopilnuję wszystkiego na miejscu.

- To bardzo rozsądne. Pozostawałoby tylko wybrać odpowiedniego woźnicę. Takiego, wiesz, który potrafi trzymać język za zębami...

- Z woźnicą nie będzie kłopotu. Poproszę Michała Grzesiaka, znają go wszyscy, bo wozi i Polaków, i Niemców. Wydaje mi się człowiekiem godnym zaufania³ - dodał.

Tak właśnie wyobrażam sobie ich rozmowę o planie przewiezienia „rzeczy”. Ale czy tak naprawdę rozmawiali na terenie Taborów, to tylko mój domysł. Równie dobrze mogli rozmawiać gdzie indziej. Na pewno treść tego dialogu jest zgodna z faktami, a wypowiedzi dotyczące „przeprowadzki” przytoczył Włodzimierz Wójcikowski w swojej książce o wojennych losach dzieł Matejki. Założmy jednak, że Pieczyrak przyjechał do Galery na Elektryczną 4 i to tam doszło do tej kluczowej rozmowy. Rozmawiali jeszcze chwilę, a potem, kiedy Pieczyrak odjechał, Galera zawołał woźnicę. Woźnica Grzesiak zjawił się po kilku minutach, zdjął czapkę i wszedł do środka i słuchał: - Przygotujesz Michale wóz, drabiniasty - wydał polecenie i zapoznał go z planem „przeprowadzki”.

W środę, późnym popołudniem z terenu Taborów wyjechał na drogę długi, drabiniasty wóz zaprzężony w dwa rosłe konie powożony przez Michała Grzesiaka. Wóz toczył się w kierunku ulicy Narutowicza. Obok redakcji Nowego Głosu Lubelskiego, niemieckiej gazety w języku polskim dla Polaków stała grupa mieszkańców, czytając najnowsze wiadomości wywieszane w witrynie sklepu „Nowego Głosu Lubelskiego”, a każda wiadomość była na żywo komentowana: Belgrad wzięty. Węgry wkraczają do Jugosławii. Każda wiadomość miała znaczenie dla rozgrywających się błyskawicznie wypadków. Na małej mapce gazetowej mieszkańcy rozpatrywali zaszłe wypadki⁴. A brukowanymi ulicami miasta bez przerwy jeździły wozy i dorożki, głównie te przewożące meble i sprzęty domowe. Co jakiś czas - niemieckie kontrole dorożek. Te nasiliły się po tym jak niedawno kierownik urzędu przy szefie dystryktu miasta Lublina wydał rozporządzenie w sprawie korzystania z dorożek przez Żydów, tłumacząc,

3 Rozmowa Romana Pieczyraka z Franciszkiem Galerą o akcji za: Wypowiedź za: *Wojenne losy dzieł Matejki* Włodzimierza Wójcikowskiego.

4 Za: Nowy Głos Lubelski, nr 87, 17 kwietnia 1941.

że celem zapobieżenia przenoszenia się tyfusu plamistego, w życie weszło rozporządzenie w myśl, którego Żydzi mogą korzystać jedynie z żydowskich dorożek, których woźnicy oznaczeni są gwiazdą Dawida⁵. Grzesiak powoził tylko Polaków i Niemców, dlatego nie obawiał się. Wyglądał na spokojnego, kiedy skręcał w kierunku placu Bernardyńskiego. Zmierzchało. Na miejscu był około 18:30. Wypatrzył w tłumie kilku mężczyzn wtajemniczonych w akcję. Udawał, że ich nie zna. A byli tam wszyscy: Roman Pieczyrak, Henryk Krzesiński (Naczelnik), Władysław Woyda (Kustosz Muzeum Lubelskiego) i jego dwaj synowie, Franciszek Podleśny (pracownik Zarządu Miejskiego), Józef Serafin (pracownik wydziału gospodarczego)⁶. Byli umówieni: kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, mieli dać znać woźnicy. Grzesiak przyglądał im się uważnie, ale dyskretnie. Znieruchomiał na moment, kiedy obok zatrzymał się samochód z kilkoma hitlerowskimi oficerami. Samochód jednak wkrótce odjechał. Grzesiak odetchnął, a kiedy uniósł głowę, zobaczył wreszcie umówiony znak. Nie czekał dłużej, zaciął konie i przejechał przez plac, kierując się w bramę prowadzącą na podwórze seminarium nauczycielskiego, stamtąd przedostał się na zaplecze Muzeum Lubelskiego. Zawrócił wozem i ustawił go w pobliżu mieszczącej się tam komórki. Pieczyrak, Krzesiński, Woyda i jego synowie, Podleśny i Serafin byli już na miejscu. Grzesiak zszedł z wozu: - To ten rulon, który mamy załadować? - rzucił wzrokiem w stronę pakunku. Solidne opakowanie rulonu nie zdradzało jego zawartości. Tego, że są tam dzieła narodowe wiedziało tylko kilka osób. W budynku Muzeum Lubelskiego obrazy Matejki leżały od 9 września 1939 roku. Wyjęte z ram i nawinięte na spory drewniany wał matejkowskiego obrazy i przewiewano z warszawskiej Zachęty do Lublina. Zostały zabudowane ładą w sali Muzeum Lubelskiego. Przez niespełna dwa lata były bezpieczne, ale wobec aktualnej obawy, że hitlerowcy przystosowują sale do swoich potrzeb i mogą zdecydować się na rozbiórkę ludy z desek i odkryć „Grunwald”, dzieła trzeba było przewieźć poza miasto. A wybór terenu Taborów Miejskich wydawał się całkiem rozsądny.

- Panie Grzesiak, ładujemy, najpierw rulon - wspólnymi siłami podważyli pakunek, aż pot lał się z czoła, i wyjaśnili Grzesiakowi, że to ta „rzecz”, którą trzeba załadować na spodzie. Na wierzch położyli kilka krzeseł, stołów i innych sprzętów. Plan był dopracowany w każdym szczególe. Niestety, szpula z obrazami wystawała poza furę.

- Tu jest balia! - któryś z mężczyzn znalazł w rupieciach balię. Szpula

5 Za: Nowy Głos Lubelski, nr 84, 10 kwietnia 1941.

6 Za: Włodzimierz Wójcikowski, „Wojenne losy dzieł Matejki”, s. 109.

zamaskowana balią wyglądała nieźle. Zawsze jednak mogło pójść coś nie tak. A gdyby hitlerowcy na Narutowicza nie odjechali i gdyby Grzesiak wzbudziłby ich podejrzenia?

- Niemcy zajęci są świętowaniem! - uspokajali się wzajemnie. - Przeprowadzka dziś nikogo nie dziwi, ciągle ktoś się przeprowadza - tłumaczyli sobie. Rozmawiali między sobą:

- Niemcy bez przerwy przeprowadzają całe rodziny z mieszkań do pokoi, wypędzają Żydów uspokajali się wzajemnie. W końcu powszechne było ulubione powiedzenie Niemców: „Żydów wystrzelamy, a Polaków dwadzieścia razy po przeprowadzamy z miejsca na miejsce i będą mieli dosyć”.

Było już ciemno. Grzesiak był ciekaw, co wiózł, jednak panowie od ładunku byli ostrożni: - To „cenne” rzeczy, dowie się pan w swoim czasie, panie Grzesiak - tłumaczyli mu, zerkając czy ładunek jest dobrze ukryty. - Może pan jechać.

Fura powożona przez Grzesiaka dotarła do Taborów, a chwilę później wszyscy wtajemniczeni. W bramie stał już Franciszek Galera: - Wszystko w porządku, możemy zająć się wyładunkiem - powiedział na ich widok i otworzył szerzej bramę. - Pod ścianą zrzucili graty z wozu, a rulon przenieśli w róg zapola stodoły i przykryli go warstwą słomy. Jednak Galera był pewien: - Długo te obrazy nie powinny tu pozostać. Ktoś może przypadkiem wbić widły w ten rulon przy wybieraniu słomy na podściółkę dla koni i ambaras gotowy, a poza tym wszędzie zabudowania drewniane, pełno słomy i siana - o pożar nietrudno.

Byli zgodni: - Tak, rzeczywiście, rulonu nie wolno tu pozostawić. Trzeba będzie go zakopać. Najlepiej w zapolu, żeby już nie robić następnych przenosin.

Przedświąteczny piątek dla robotników Taborów Miejskich był dniem wolnym od pracy. Nikt się więc po Taborach nie kręcił, było spokojnie. „Rzeczy” zostały ukryte w głębokim dole wyłożonym deskami i zabezpieczonym słomą. Przeleżały tam do października 1944 roku. Grzesiak został woźnicą przewodniczącego Tymczasowej Rady Narodowej i któregoś razu w rozmowie o przeżyciach wojennych, Grzesiak wspomniał, że pomagał ukrywać jakąś „rzecz” w Taborach Miejskich. Opowieść wzbudziła zainteresowanie, dlatego dalsze wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Wydobyte 17 października 1944 z ziemi, obrosniętego pleśnią, cennego rulonu zgromadziło widzów: uczniów, mieszkańców, przedstawiciele władz, wreszcie media. Napięcie rosło. Aż wreszcie łopaty wreszcie natrafiły na skrzynie, w której złożono Bitwę pod Grunwaldem i Kazanie Skargi.

- Na początku 1945 roku władza radziecka miała odznaczyć dziadka - opowiada mi pani Barbara Długasiewicz - Dziadek się bał - dodaje i wskazuje na związki Galery z AK. - Powiedział, że nie chce, żeby ktoś znał jego nazwisko. Nawet po jego śmierci, kiedy w latach 50. odznaczano jego pracownika Podleśnego, dziadek został pominięty. Babcia siedziała i płakała w kuchni, kiedy jacyś panowie z Warszawy zabierali jej fotografie wykonane w czasie wydobycia obrazu. Jak byłam w sześćdziesiątym ósmym roku w Warszawie i oglądałam ten obraz, to pod obrazem były nazwiska ludzi, którzy w pięćdziesiątym trzeci byli odznaczeni, ci, co się o to wystarali, a dziadek, który to wszystko wziął na swoją głowę, nie był wymieniony pod obrazem - tłumaczy mi. Z dostępnych w sieci informacji wiem, że Franciszek Galera został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w dziele ratowania i ochrony dóbr polskiego dziedzictwa kulturowego.

15 lipca 2022 pani Barbara nałożyła jasną elegancją garsonkę, robi makijaż. Ma starannie ułożone włosy, jest niewysoka: - Dzień dobry - kłaniam się, kiedy przechodzę obok. Obok mieszkańcy Kośminka, przedstawiciele władz miasta i województwa. Na uroczystości jest sam Prezydent Miasta - Krzysztof Żuk. Stoimy wszyscy na skwerze, na chwilę przed uroczystością odsłonięcia tablicy z nazwą SKWER FRANCISZKA GALERY. Wokół przedstawiciele prasy. - Jestem dumna z mego dziadka - mówi Barbara Długasiewicz. - Chciałabym, aby następne pokolenia pamiętały o tym - dodaje.

Tego samego dnia kopię obrazu oglądam w wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. H. Łopacińskiego podczas wernisażu wystawy „Ponownie w Lublinie. Pokaz kopii obrazu Jana Matejki BITWA POD GRUNWALDEM”. Robi wrażenie. Jest minimalnie mniejsza od oryginału Matejki. Autorem kopii jest młody artysta - Ireneusz Rolewski, ale jego historia to już odrębna opowieść.

2022

Tekst powstał przede wszystkim na podstawie książki *Wojenne losy dzieł Matejki* autorstwa Włodzimierza Wójcikowskiego, wspomnień Barbary Długasiewicz oraz oświadczenia Franciszka Galery z 1949 roku. Korzystałam również z ówczesnej prasy codziennej, Pierwszej Kroniki Filmowej z 1945 roku oraz publikacji: Jan Karol Wende, *Ta ziemia od innych droższa*, Włodzimierz Kalicki, Monika Kuhnke, *Sztuka zagrabiona. Tom 1*, 2014.

Maria Kocot

Godło: „Papierowydom”, Bytom

wyróżnienie proza

HELLADA 1939

Dedal i Ikar

– Będzie niezniszczalny, zobaczysz tatko! To symbol nowoczesności – dmuchając w płowy kosmyk moich włosów, zwracam się w kierunku starszego jegomościa. Tamten jednak majstruje coś przy maszynie:

– Tatko zobacz! – moje błękitne spojrzenie obejmuje z zachwytem maszynę. – Tatko to PZL P.7 – prawdziwy as przestworzy. Wyjątkowo lekka konstrukcja – cmokam z zadowoleniem. Ojciec dopiero teraz odwraca się do mnie i posyła w moim kierunku uśmiech:

– Oj, synku, musisz się jeszcze wiele nauczyć, przed tobą ostatni rok nauki na politechnice.

– Profesorze Rozwadowski! – wraz z tatkiem odwracamy się, a na naszych ustach pojawia się uśmiech na widok pulchnej, krępej postaci:

– A, w samą porę, Heńku! – tatko macha ręką w stronę mężczyzny. – Niech Heniek sprawdzi jeszcze silnik. Ten mój młokos – śmieje się do mnie, wskazując na mnie palcem – jest naprawdę dobry, ale przecież wciąż brak mu doświadczenia.

– Ależ panie profesorze – odpowiada mu tamten. – Pan jest prawdziwym asem lotnictwa. Ja tam zawsze o pana dokonaniach wspominam. Ależ pan dał popalić tym Niemcom w wielkiej wojnie. A to mówią, że i następna wojenka się szykuje. Ja jednak w to nie wierzę. Ten Hitler to przecież baba w spodniach jest – śmieje się gardłowo, a wkrótce i ja do niego dołączam. Jednak ojciec poważnieje, kiedy prostując się, starannie dobiera słowa:

– Wy tam nie śmiecie się panowie. Z tymi Niemcami to nigdy nie wiadomo. A po traktacie wersalskim, co im tyłki zbiliśmy, to i żądni zemsty są. Trzeba, zatem naszą podniebną armię jakoś zasilić.

– Ach panie profesorze, pan to by i greckich bogów swoimi podniebnymi cackami zachwycił – wcina się w zdanie Heniek.

Afrodyta

Wdycham zapach morza i przyglądam się spienionym falom. Widok, jaki ukazuje mi się przed oczyma, powoduje, że tracę oddech. Ona wylania się ze spienionych fal. Złociste włosy spadają miękko na alabastrowe ramiona, a błękitne oczy przypominają gwiazdy.

– Czy to ziemska istota? – pytam sam siebie.

– Proszę pana... – moja muza śmieje się do mnie, lecz ja nagle odzyskuję dawną charyzmę:

– Stanisław Rozwadowski – wstaję, prostując swą roslą sylwetkę i ujmując jej miękką dłoń w swoją, a następnie muskam ją ustami. – A panna, to już wiem. Afrodyta, powstała z morskiej piany.

Dziewczyna śmieje się zalotnie, a na jej policzkach pojawiają się miękkie dołeczki:

– Ach, Afrodyta... Zaraz Afrodyta. Pan to chyba wszystkie dziewczęta tak nazywa. Julia Wyszyńska – mówi spokojnie. – Wie pan, tutaj niedaleko koło promenady sprzedają świetną lemoniadę. Może zaprosiłby mnie pan?

Hades

Pierwszego września słońce zgasło, pogrążając mój świat w chaosie. Przed oczyma przesuwały mi się kadry ostatnich lat: biały welon Julii i jej boska, koronkowa suknia, szeleszcząca przy każdym ruchu, kiedy szła do ołtarza, składając mi przysięgę, nasza tonąca w magnoliach willa pod Warszawą, moje złote medale dla najlepszego konstruktora samolotów w Polsce, przystrajające salon, jedwabisty głos Julii, wołającej mnie z ogrodu, tupot stópek naszej córeczki Kasieńki, stawiającej pierwsze kroki w przydomowej altance, moje łzy mieszające się z listopadowym deszczem, kiedy żegnam tatka... Lecz to było w innym życiu, przed trzydziestym dziewiątym.

– O, Heniek – wołam w stronę przyjaciela. – Cóż cię tu sprowadza? – spoglądam przenikliwie na jego małe oczka. Dostrzegam w nich ogromny strach.

– Co się stało? – zrywam się na równe nogi. – Co się stało? – potrząsam jego ramionami przerażony tym, co zaraz usłyszę.

– Ach panie inżynierze, nieszczęście, wielkie nieszczęście...- Heniek wyciera pot z czoła. – Pppanią Julię i Kasieńkę... Panie inżynierze... Toć łapanka była na Chłodnej. Pani Julia właśnie tamtędy przechodziła... z Kasieńką... Zabrali je, zabrali je...

– Co ty mówisz człowieku? – krzyczę jak opętany. Czuję, że właśnie sięgam dna piekła.

Orfeusz i Eurydyka

– Musi znaleźć się jakiś sposób, by je stamtąd wyciągnąć – moje lakierowane mokasyny stukają po parkiecie, kiedy po raz kolejny przechodzę wzdłuż salonu. Nie wiem, ile razy powtórzyłem już to zdanie.

– Przepłynę sam Styks, żeby je uratować – wycieram ręką pot z czoła.– Będę się błąkał, szukał, aż w końcu znajdę sposób, żeby je sprowadzić do domu.

Naraz między mój monolog, wcina się dyskretne pukanie. U progu drzwi pojawia się służąca i podaje mi coś niezgrabnie. Dopiero teraz dostrzegam, że to list, opatrzony niemiecką pieczęcią.

Przyglądam się czarnej pieczęci i rozrywam kopertę. Przez chwilę nastaje cisza, a ja zagłębiam się w lekturze listu.

– Chyba znalazłem sposób, żeby wyrwać moją Julię i Kasieńkę z tego piekła – odwracam się do służącej:

– Marta, szykuj mój surdut, wieczorem wyjeżdżam. Wyjeżdżam... Do kwatery gestapo!

Uczta na Olimpie

Strumieniami leje się szampan, orkiestra gra Wagnera, stoły uginają się od pieczony kaczek, duszonych w jabłkach, najznamienitszych ciast, deserów i napojów. Za ogromnym stołem, wykonanym misternie z kryształu siedzą oni – złotowłosi cherubini, odziani w mundury i wysokie, wypolerowane buty. Naraz, podchodzi do mnie niski oficer. Nie pasuje do pozostałej do pozostałych gość. Jest trzeźwy i pomimo swego niskiego wzrostu spogląda na mnie z wyższością:

– Inżynierze Rozwadowski, o pana sukcesach słyszałem już przed wojną. Jest pan ponoć najlepszym konstruktorem maszyn lotniczych w Europie. Bylibyśmy zaszczytni, gdyby pan zechciał pracować dla Trzeciej Rzeszy – zaczyna ostrożnie.

– Nie, to nie wchodzi w rachubę. Pan przecież wie, że jestem Polakiem. Łączy mnie przysięga – odpowiadam pewnie – za nic na świecie nie zdradzę swojej Ojczyzny. Nigdy! – dodaję pewnie.

– ... Nawet, jeśli dzięki temu, pana żona i córka mogłyby zostać zwolnione z obozu? – błękitne oczy Niemca spoglądają na mnie przenikliwie z wyższością.

– Jak to, jak to ... Czy naprawdę jest to możliwe?– jęczę jak zranione zwierzę

– Cóż, panie inżynierze, jest wojna. Losy pana żony i córki zależą od pana decyzji. Dowiadywałem się, że jest możliwość zwolnienia ich z obozu. Ale to będzie pana kosztować. Postawię sprawo jasno, panie inżynierze. Pana

zdolności i praca na rzecz Trzeciej Rzeszy, za ich życie – głos Niemca brzmi pewnie.

– Zrobię wszystko, żeby były bezpieczne. Zgadzam się – słyszę swoje słowa.

– Wiedziałem, że się dogadamy – Niemiec odwraca się i sięga po kieliszek. Nalewa szampana i podaje mi trunek.

– Za sukces! – krzyczy.

Syzyf

– Panie inżynierze, jest pan genialny! – Heniek przeciera oczy ze zdumienia. – Toż to prawdziwe cacko. Nawet pański ojciec nie zmajstrował niczego lepszego. Wygląda jak osławiony amerykański P 51 Mustang.

Spoglądam na niego smutnymi oczyma:

– Oj Heniek, Heniek, będę się smażył w piekle. Nigdy nie przypuszczałem, że będzie mi dane pracować dla szkopów. Ten bagaż jest tak ciężki, niczym głaz. Oj, Heniek, Heniek... Noszę na plecach wielki kamień...

– Panie inżynierze, przecież nie było innego wyjścia. Ten oficer dał słowo, że samolot za życie pani Julii i Kasieńki.

– A jakie tam słowo, Heniek? – kiwam głową ze smutkiem. – Oni czują się bogami, królującymi na Olimpie. Są wyłączeni spod prawa, wydaje im się, że są nieśmiertelni, że wszystko mogą. Wiesz Heniek – szepczę z poczuciem beznadziei – ta praca nie ma żadnego celu ani końca. Wypuszczą Julię, o ile oczywiście to zrobią, a potem zaczną mnie szantażować. Zmuszą mnie żebym dla nich wciąż pracował – wznoszę oczy ku górze. – Oj, Heniek, Heniek, tylko jaką ja mam gwarancję, że oni ją wypuszczą?

Demeter i Persefona

– PZL P.7. samolot myśliwski, podobnej konstrukcji, co dzieło inżyniera Zygmunta Puławskiego – podaję szkic samolotu niemieckiemu oficerowi, a moje usta wyginają się w nerwowym uśmiechu.

– Dziękuję, panie inżynierze Rozwadowski. Byłem pewien, że się dogadamy. Trzecia Rzesza jest panu wdzięczna. Nigdy tego panu nie zapomnimy. I jeszcze raz ponawiam pytanie: może w końcu podpisze pan Volkslistę? Hitler szanuje, takich ludzi jak pan – i nie dokańcza, bo przerywam mu, wykonując ruch ręką:

– Nie, nie! To było jednorazowe zlecenie. A propos, co z moją żoną i córką? Kiedy wypuszczą z obozu Julię i moją Kasieńkę?

– Ależ, panie inżynierze. – Niemiec klepie mnie po ramieniu. – Dałem panu słowo niemieckiego oficera. Właśnie moi ludzie załatwiają im zwolnienie

z obozu. Lada moment zjawią się u pana w dworku. Mam jednak nadzieję, że to nie będzie koniec naszej współpracy – niemiecki oficer wyciąga do mnie dłoń, a ja przez chwilę waham się. Jednak zaraz moja lodowata dłoń dotyka ręki wroga.

– Co ja dobrego zrobiłem? Jak mogłem ułożyć się z wrogiem? – natrętnie myśli obiegają mój umysł. Niemiecki oficer chyba odgaduje je, bo zwraca się do mnie uprzejmie:

– Wie pan, cel uświęca środki. Nigdy nie pożałuje pan, że pracował dla Trzeciej Rzeszy. To nie wstyd służyć zwycięzcom!

Nie odzywam się już więcej i odchodzę w milczeniu. Wychodzę na pustą ulicę, próbując zaczerpnąć łyk powietrza. Czy wolno mi jeszcze oddychać kurzem zranionej Warszawy? Naraz orientuje się, że w dłoni wciąż trzymam projekt konstrukcji samolotu. Emocje spowodowały, że zapomniałem go oddać do rąk własnych niemieckiemu oficerowi. Nie namyślając się długo zawracam. Drzwi wciąż są uchylone:

– Jak to nie zostaną zwolnione?– słyszę podniesiony głos niemieckiego oficera.

– Na jakim ty świecie żyjesz, Kurt? – śmieje się gardłowo jego rozmówca. – Zanim wydaliście rozkaz o zwolnieniu tych kobiet, mała została skierowana do gazu. A jej matka, tak się darła, że nie chce dzieciaka zostawić, że postanowiła tam pójść za nią. I tak obie uleciały już z dymem – chichocze głos. Lecz jego rozmówca przerywa mu:

– Z czego się śmiesz, głupcze? Stracimy doskonałego konstruktora. Berlin nam tego nie wybaczy.

– A tam konstruktora! Cóż to niemieckich naukowców nie mamy, że Polaków musimy szukać?

Niemiec mówił coś jeszcze, a w końcu obaj parsknęli śmiechem. Ja jednak stoję tam wciąż i czuję, że ziemia wymyka mi się spod nóg. Teraz pragnę wzbić się w powietrze i lecieć ku niebu. Lecieć, lecieć i stopić się razem z błękitem przestworzy. Naraz słyszę huk. To piorun uderza w drzewo. Lecz mnie wydaje się, że to moje serce pękło w pół.

Prometeusz

Czy jestem w stanie pogodzić swoje czyny ze sumieniem w czerni otaczających mnie czasów? Odpowiada mi pustka. W ogromnym salonie jestem sam. Zupełnie sam. Wsłuchuję się tylko w tykanie zegara. On zawsze dobrze odmierza czas, tylko ja zaszedłem w złe strony. Czy mogę wybaczyć sobie, że skonstruowałem maszynę latającą dla wroga? Spoglądam na zamknięte drzwi. Z zewnątrz nie dochodzi żaden dźwięk. Lecz ta cisza nie

tłumi moich wyrzutów sumienia. Umieram codziennie. Cierpię niemiłosiernie, moje rany nigdy nie potrafią się zabiścić. Kiedy wydaje mi się, że już się leczą, przypominam sobie o tym, że moimi rękoma powstał samolot, który zbombardował polskie miasta. Czy mogę jeszcze zrobić coś dobrego? Naraz podnoszę się z twardego stołka, otwieram drzwi i biegnę przed siebie. Dostrzegam moje kolejne trofeum. Samolot jest taki dumny i piękny! Heniek, gdy go zobaczył, rzekł, że to prawdziwy as przestworzy. W pośpiechu ubieram okulary, zakładam pilotkę i wskakuję do myśliwca. Naraz wbijam się w powietrze. Jestem wolny, czuję się szczęśliwy i lekki... Spoglądam w dół. Podo mną rozpościerają się pasy złotego dywanu zboża, lecz ja nie tutaj chcę wylądować. Mój sokoli wzrok dostrzega niemiecką fabrykę amunicji.

– Zaraz rozwalę ją całą! – zaciskam pięści ze złością. Kieruję się ku ziemi, z impetem podkręcam prędkość, a rozpędzona maszyna pędzi prosto w niemiecki budynek

– Jestem zwyciężcą! – krzyczę triumfalnie.

Chociaż samolot uderza hukiem w budynek i staje on w płomieniach, to moja dusza odrywa się od spalonego ciała i ulatuje w niebo ku górze. Osiadam na białej – czerwonej tęczy. Ona staje się moim Olimpem.



Edyta Jachowicz
Godło: „Lawenda”, Ruda Śląska
wyróżnienie proza

Dom, czas i nostalgia

Czas łóżek

Czas łóżek był czasem szeptów i jest czasem milczenia.

Piękne, drewniane łóżka zajmowały sporo miejsca w drewnianym domu. Musiały utulić do snu dużą rodzinę, stąd ich poważne rozmiary. Jedno stało w kuchni, niedaleko pieca, dwa pozostałe opanowały pokój. Ich piękno wynikało z prostoty i proporcjonalnej do niej funkcjonalności. Wysokie ramy z wyżłobionymi kwadratami z przodu i z tyłu, obszerny środek z siennikiem wypełnionym słomą lub sianem i dobra jakość drewna,

które dokładnie zabezpieczono to dobry sposób na zasłużony odpoczynek. Wysokie ramy zamykały przestrzeń, wieczorne szepty nie wychodziły poza nie. Dokładne opisy snów pozostawały w okolicach łóżka, stawały się wtedy bardziej przejrzyste i zrozumiałe. Plany dotyczące następnego dnia też nie wychylały nosa za ramy, jakby wiedziały, że poza tą sferą tracą wyrazistość i moc realizacji. Szepty ożywały wieczorami, wznagały się, rosły w siłę, aby w końcu się wyciszyć. Bywało, że rozpoczynały się od tych samych słów i snuły swoje nocne opowieści. Bez tych cichych wieczornych rozmów sen by nie nadszedł i nie ujawnił własnych, dziwnych, fantastycznych obrazów.

Paradoksalnie te piękne ramy przyczyniły się grabieży łóżek. Rozbiegane oczy wyłowiły ich wartość i meble na stałe opuściły swoje od lat zajmowane miejsce. Obecnie tkwi tam ponure, uosobione milczenie, które zajmuje dokładnie tyle samo miejsca.

Czas haftowanych makatek był czasem estetycznym

Czas makatek był czasem potrzebnym do upiększania bezbarwnej i trudnej rzeczywistości.

Dwie białe makatki były odpowiedzialne za odczucie piękna w drewnianym domu. Jedna z nich, wisząca nad kącikiem toaletowym, przedstawiała przystojnego ułana uśmiechającego się do młodej dziewczyny. Ona, cała w malwach, posyłała mu szeroki uśmiech, on, lekko pochylony, odwzajemniał go. Prosta scenka, która tyle mówiła o pierwszym uczuciu. Rano, po zmyciu z siebie snu, na wpół otwarte oczy opierały się o tę scenę, powtarzając sekwencyjnie, z sentymentem jej znaczenie. Druga makatka była w przedpokoju. Piękna kobieta zapraszała do środka i mówiła: Miłość i zgoda domu ozdoba. Teksty krótkie i naiwnie proste, bez niedomówień i zbędnych słów, wpadały w ucho, żeby łatwo było je zapamiętać. Zrosły się z wnętrzem i rozprzestrzeniły się w drewnianym domu, tworząc jego ludowy klimat.

Po makatkach pozostał nieco jaśniejszy odcień drewnianej ściany. Czas je doskonale zapamiętał, uwidoczniał miejsce po nich, pozostawił ślad. Ale ich moc nie zniknęła, pozostała w tym odcieniu, widoczna przy porannym świetle. Są tacy, którzy nadal widzą te haftowane niebieskim kordonkiem napisy.

Czas przechowanych słów i wciąż otwartych zdań

Czas przechowanych słów i wciąż otwartych zdań był czasem przeszłym i jest teraźniejszym. Pożółkły papier utrwalił równie pożółkłe słowa,

osamotnione, pozbawione właściciela, które teraz brzmią zupełnie inaczej, to dźwięk spoza naszej przestrzeni, z obszaru, którego nie możemy dotknąć i wypełnić sobą. „U mnie nic nowego, wszystko po staremu”. Jak poradzić sobie z tym zdaniem? Gdzie jest klucz do jego interpretacji?

Słowa z listów oznaczały nadmiar pracy, obowiązków przeciętnego dnia, wymagań wobec trudnej egzystencji. Wyrazy pęczniały codziennością. Rytm przeciętnego dnia, w którym człowiek łapczywie łowi chwile dla siebie, zwalniał dopiero wieczorem, kiedy wszystko wokół zasypiało, dom i jego właściciele, ich sprawy i sprzęty, ich trudy i radości, niedokończone zdania i przejmujące frazy, obawy i plany. Wieczór rozpamiętywał wydarzenia dnia, kończył to, co zostało rozpoczęte i zaczynał martwić się o jutro. Plany rozszerzały się miarowo, dotyczyły drobnych spraw i mozolnie wypełniały płaszczyzny przyszłości. Każdy następny dzień dopisywał swój katalog bieżących obowiązków i założeń. Odważne zamysły wybiegały daleko w przyszłość, otwierały nowe możliwości i drzwi na oścież. Zdania pełne świeżych zamierzeń już kielkowały i łączyły teraźniejszość z przyszłością, były pomostami między tymi czasami. Wciąż tkwiły w tym, co tu i teraz, co można poczuć i dotknąć, a nawet wyrazić, ale spoglądały dalej, o godzinę, o tydzień o miesiąc. Chciały zahaczyć o przyszłość, stworzyć poczucie otwartości na przyrodę, dzieci, ludzi, możliwości i świat. W każdym słowie wybrzmiewała jakaś troska, czasami o następny tydzień, innym razem o świat. Rozpiętość jedyna w swoim rodzaju, zwielokrotniona o wielość, rozmnożona. Zwykle: „nic nowego”. Zdania, przeczytane po wielu latach, tworzą nową kategorię, zdań otwartych i półotwartych.

Czas szaf był czasem zamknięcia i otwarcia

W starym domu wiodły swój drewniany żywot dwie szafy. Jedna z nich, znajdująca się w pokoju, była przyzwyczajona do wzniosłości i chwil niecodziennych. Wykonana z doskonałego dębowego drewna dumnie i wyniośle spoglądała na pozostałe przedmioty. Jej piękne dwuskrzydłowe drzwi zamknięte były na klucz. Mieściła bowiem rzeczy cenne, wyrwane z codziennego obiegu. Kolorowe chusty przewieszane na bocznym uchwycie szczybiały o targach i jarmarkach, ciepłe swetry w różnorodne wzory wciąż wspominały zimowe wieczory, ciężkie płaszcze z futrzanymi kołnierzami przypominały o drogach i dalekich wyjazdach. Tu rzadko zaglądał zwykły dzień, to było miejsce zarezerwowane dla czasu wyjątkowego, świątecznego, innego. I szata o tym wiedziała, chroniła i strzegła tych okruchów i momentów niepowszednich. Lubiła swoje zadanie, przekręcanie klucza zwiastowało, że nadchodzi chwila wybierania odpowiednich ubrań, zastanawiania się, wahania,

rozmyślania. Skromniejsza szafa, przeznaczona dla codzienności była w miejscu nazwanym komorą. Stała blisko ślufanka, czyli ławki ze schowkiem, grubej komody i licznych półek z wiktuałami. Jej bogactwo było ogromne. Na pięciu półkach znajdowało się wszystko, od skarpet po ręczniki, rzeczy najbliższe, żyte z człowiekiem i każdą porą dnia. Zazwyczaj ubrania nie były poukładane, łączywa terażniejszość na to nie pozwalała, należało szybko coś zrobić, zasiał, wykopać, naprawić i doprowadzić do końca. I tak nieustannie.

Dumna szafa została ograbiona z pięknych drzwi, bez zażenowania pokazuje swoje puste wnętrze, oskarżając terażniejszość. Druga szafa ma na swoich półkach trzy walizki, które zamknęły się na otaczającą rzeczywistość i przechowują w sobie przeszłość. Każdy próbuje sobie jakoś radzić.

Czas komory

Czas komory był czasem różnorodności.

To dość duże pomieszczenie zawierało prawie wszystko potrzebne do obsługi domu. Kraina różnorodności zachwycała, była kalejdoskopem rzeczy. Trzeba dodać, że przedmioty, oprócz nielicznych, nie miały swojego ustalonego miejsca. Ogromne sito do mąki, powieszony pod górną półką na zwyczajnym gwoździu peregrynowało na przykład pod okno albo, co zrozumiacie, gościło w pobliżu ogromnej stolnicy. Pod koniec tygodnia łądowało za drzwiami. Cóż, to było wędrowne sito! Nie inaczej działało się z koszem jabłek, który znalazł swoje miejsce na ślufanku, tam było dość nudno, więc oddalił się na środek komory. Każdy lubi być w centrum wydarzeń. Jako że przeszkadzał, udał się pod okno. Na całej długości ścian rozpościerały się półki. I to właśnie one śledziły te rozmaite przejścia, robiły zakłady i bawiły się do rozpuku. Z góry widziały inaczej, obejmowały więcej i szerzej. Na półkach gościła wielorakość: litrowe słoje wypełnione smalcem, zapeklowane mięso, powidła śliwkowe, konserwy, suszone grzyby i śliwki. Rarytasy, bez których smak życia byłby ograniczony i uszczuplony. Na sporej komodzie rozsiadła się ogromna stolnica, dumna gospodyni całego pomieszczenia. Na niej wirowała mąka poruszana przez wprawne ręce. Ich ruchy były zmienne, raz szybkie i energiczne, po czym powolne, niemal flegmatyczne. Z niewielu prostych składników potrafiły wyczarować pyszne przysmaki w pojedynczych sztukach lub na przykład całe armie jagodowych pierogów liczone w setkach.

W ograbionej komorze rozpościera się pustka, nie ma śladu dawnej obfitości, gdzieś tli się wąty zapach nostalgii za przeszłością.

Czas światła już bez światła

Czas światła był czasem punktowym.

Żarówka o najniższej mocy oświetlała z sufitu kuchnię. Światło sączyło się powoli, przenikało przestrzeń i domykało mrok. Z zewnątrz, przez małe kuchenne okno, wyglądało ono zjawiskowo, intensywniejsze u góry, rozproszone na dole. Na tle zmroku było jaśniejącym punktem. Innym miejscem określonym przez światło był pokój. Refleksy z ekranu telewizora zmieniały natężenie odbłasku, który stawał się niespokojny i drżący, czasami impulsywny, aż w końcu zupełnie rozbity. Nad drzwiami wejściowymi kulista lampa emanowała światłem. Zapraszała do środka o zmroku, czuwała, by dobrze postawić krok, by zwodnicze schody nie były żadną przeszkodą. Każdego wieczoru strumieniem rozświetlała drogę do stajni, gdzie spracowane ręce musiały wypełnić ostatnie gospodarskie obowiązki. Pośród dużego sadu, zatopionego w ciemności, stał drewniany dom z kulistą lampą nad drzwiami i delikatnie rozchodzącym się światłem. Obrazek na wskroś barokowy.

Dziś jest tylko ciemność, to druga strona baroku. Wokół znajdują się budynki nowocześnie i nazbyt krzykliwie oświetlone. Drewniany dom pozostaje w zawieszonym nad nim, ciężkiej ciemności i czeka.

*Kategoria
- poezja -
młodzież*



Martyna Niedźwiedź, 16 lat
Godło: „Poetessa”, Rokietnica
I miejsce ex aequo poezja młodzież

**część każda wierszologii.
drewniany spiszek koronacyjny**

lubię samofalistość drzew
ich wielokonwencje prostot i
krzywości
podoba mi się że są wierne
płaszczynom swojej pramysli
że liścieją
od słodkości powietrza i
gubią się w swoich gałęziach dokładnie tak
jak ludzie
drzewa chyba też coś mojego lubią
bo kiedy wchodzę pod ich płaszcze
i kładę swój policzek na
ich drewnianych ciałach
odrywają ze mnie wszystkie myśli
od
każdej ja
od
każdego mnopodobnego kształtu
czuję się naga w duszy więc
ukorzeniam się
w głębi świata
brązowieją mi stopy i skręcają się włosy
jestem posągiem świata na posągu człowieka
życie zbudowało mnie z brzozy

kto siebie straca ten do domu nie wraca

przepraszam panią najmocniej ale czy
tędy dojdę do domu?
rozumiem

skręcić w tę dwupowierzchnię zniknięcia
tam na lewo od wspomnienia
o niezręcznych klamkach i
osiwiałej kanapie
a później minąć
kałuże z oczu mojej matki
i zejść w dół po kamiennej drodze ze
wszystkich okruszków moich serc
na których słowa łamały sobie zęby
przepraszam panią najmocniej ale skąd
mam niby wiedzieć że to tu?
rozumiem
wyciskarka do ojców
w trzeciej szufladzie od północnego-zawodu
skrzypiące drzwi od łazienki i
niedomykające się oczynnice w pokoju na górze
krzesła podrapane przez kota a
miłości przez czas
przepraszam panią najmocniej ale czy
będę musiała tam żyć?
rozumiem
w takim razie ja jednak zostanę
pójdę na przystanek
i popatrzę sobie jak mijają mnie
niezręcznie uniesione dłonie
osiwiałe dzieciństwa
boliące skronie
skrzypiące kłamstwa
ja sobie tutaj z panią przystanę

mijanie nie omija

zawsze gdy
mijam wszystkie
czoła i policzki mieszkań
patrzę czy ktoś
wymyślił im balkony
czy przymocował im
powieki i włożył się tam
jak źrenicę

myślę też dlaczego to zrobił
czy lubił
zachody słońca
ekstrawagancję lub
Szekspira
czy może zwyczajnie
nie lubił sufitów

zawsze gdy
mijam wszystkie
suknie i spódnice ogrodów
patrzę czy ktoś
wymyślił im kwiaty
czy przyozdobił je
żonkilami liliami malwami
i włożył się tam
jak wazon
myślę też dlaczego to zrobił
czy czuł
zazdrość
powinność
nadzieję na spełnioną niemiłość
czy może zwyczajnie
nie czuł nic

zawsze gdy
mijam
patrzę czy już
wymyśliłam jak się zatrzymać
czy przewidziałam sobie
kogoś i włożyłam się tam
jak siebie
myślę też dlaczego tego nie zrobiłam
czy to
tamto
a może jednak to pierwsze
czy może zwyczajnie
zasnęłam na balkonie
spadł mi długopis
i wtulił się w fałdy czyjegoś trawnika

tak jak pani A wtula się w pana B
jakby miał jej zaraz

minąć

prosto z mostu

wiem że
pomyśli pan pewnie że to
trochę dziwne
ale ja się bardziej boję żyć
niż umierać
całe to oddychanie
głaskanie emocji po brzuchach
składanie słów jak serwetki
wszystkie te
myśli piekące w podniebienia i
spojrzenia rozmarzone
którymi obrzucane są ciała
no i te zawstydzone spuszczenia wzroków
którymi się kończą te pierwsze
bardzo mnie to tak
wie pan
nie chce dotyczyć
ja to bym wolała
sobie zniknąć na spokojnie
owinać się w chmurę
wpełznąć pod ocean
żeby mnie mgła tak solidnie
domgliła
wiem że
mówię tak panu pewnie
bo ja
ja się tak boję o życie
że mi się wydaje że to całe umieranie
to by było znacznie mniej
strachorodne
trochę dziwne może
bo w końcu nie umiera się na co dzień
tylko

okazjonalnie
a teraz musi pan przyznać
okazja jest świetna
jest pan w końcu
bardzo ładnym mostem
całe to życie
wszystkie te bycia
bolą mnie trochę mniej
gdy tu z panem stoję
a umierać to w ogóle się już nie boję

wierzenia starożytnych serc

za dużo jest w życiu
bezsensów
by wierzyć w przypadki -
wstrukturalizowane w siebie
niedomgnięcia oczu
póldotyki we wnętrzu
schłodzonej dłoni
kilka jedynomyślności
rozlanych po brzegu duszy

więc ja przeznaczam sobie
ciebie
a ty przeznacz sobie
mnie

i może przypadkiem
przeszaną w nas wierzyć
przypadki



Alicja Sówka, 17 lat

Godło: „Bibosz”, Ugniewo

I miejsce ex aequo poezja młodzież

Pseudo-sztuka pseudo-relacji

Gdybyśmy zwali się diamentami
Szkło bym zaczęła cenić nad nimi
Mylnie nas bierzesz za piękny obraz
Wymalowany szminką na szyi
Karykatura ludzkiej bliskości
Skraplana skrzętnie mokrymi snami
Dziś się sprzedała za butle wódki
Pewnie zmaconą gorzkimi łzami
Sztuka dla sztuki chwila dla chwili
Obraz rozmyje się z makijażem
Lecz to nieważne bo trzy kieliszki
Kusza nas dzisiaj nocnym ołtarzem
Panie panowie bawcie się dobrze
Pijcie za obraz nabyty w pędzie
Cieszcie się nim do ostatniej kropli
Bo gdy wstaniecie już go nie będzie

Homocentryzm

Chmury ruszyły z rana przed siebie
Marszować dniami z niemą piosenką
Gdyby śpiewały specjalnie dla mnie
Może bym nucił ją przed jutrzenką
Ptaki krążyły na bladym niebie
Tańcząc chaosu pełne balety
Gdyby tańczyły specjalnie dla mnie
Nosiłbym pewnie miano poety
Gdyby wiatr polny krążący rankiem
Wiał by figlarnie zmierzwić mi włosy
Pewnie nie chodziłbym do fryzjera
A szampon zmienił na krople rosy
I gdyby kwiaty kwitły mi w oczach

Gdyby mnie słońce budziło z rana
Gdyby mi księżyc szeptał nocami
Gdyby mnie ciemna noc przytuliła
Stałbym się pewnie lepszym człowiekiem
Gdybym się kąpał wiosennym deszczem
Gdybym był tylko centrum wszechświata
Stałbym się dobry
Ale nie jestem

Ignorantka

Gdy ignorancję w tanim wydaniu
Zakładam rano wychodząc z domu
Licząc że dzisiaj nie pójdzie oczko
I się nie spruje w szponach wieczoru
Stoję przed lustrem minut trzydzieści
Aż mnie wstydlivy rumieniec zjada
Patrzeć na siebie z taką uwagą?
Mnie ignorantce tak nie wypada
W progu okrywam się nonszalancją
Ściskam nią szyję jak cienkim szalem
I choć mnie dusi przy każdym słowie
Z głupiej przekory noszę ją stale
Spryskam się jeszcze kroplą dowcipu
Może mi wówczas serce nie pęknie
Gdy łapiąc w oknie swoje odbicie
Znowu nie będę wyglądać pięknie

Poniosła mnie wiosna powietrzem rozgrzanym
Tak ciepłym jak ranki dwanaście lat temu
Gdzieś wiodąc mnie ślepo w niewiedzy kurhany
Kusiła szeptami o wiecznym wytchnieniu
Pozorne zielenie tak piękne w swej dziczy
Pokryły mi ciało i związały ręce
I wiatr już nie szeptał a w tej martwej ciszy
Mi również wstyd było odezwać się więcej
Nie zmówił różańca mi żaden z motyli
I żaden z zachodów nie opłakał ciała

A gwiazdy na niebie tak są jak i były
Jak gdyby przyroda się śmierci nie bała
Oddała mnie ziemi bez ani krzty żalu
Swoją ignorancją plugawiąc me zwłoki
A ja w otoczeniu zdradliwych kurhanów
Martwymi oczyma patrzyłam w obłoki



Urszula Stefanowska, 16 lat
Godło: „Teresa Niedźwiedź”, Kielce
II miejsce poezja młodzież

Na imię Jej Moc

Na imię jej Burza

Patrzyli zza grubego szkła
Zerkali zapijając grozę herbatą z malinami
Niektórzy opuszczali rolety i przemilczali sprawę
Inni cierpliwie czekali pod łózkami na właściwy moment

Chciała by się jej bali
Chciała być
Silna
Nie delikatna krucha jak jej siostry
Nie chciała zależeć ufać mieć nadziei
Sama była sobie żaglem i sterem
Gdy nie mogła naprawić świata ani samej siebie
Pozostało jej
Siać zniszczenie
Gniew, Bogini, opiewaj Burzę, córkę Słońca
Ona weźmie sprawy w swoje ręce
Stanie i zawalczy o siebie
Zsyłając grom budzi trwogę
Zasłonę dymną dla łez

Ostatniej oznaki słabości
Ostatniego odruchu „kobiecości”

W przeciwieństwie do płci brzydkiej nigdy nie bronili
Płakać czuć być wrażliwą
Chciała dorównać wyprzedzić pokonać
Własne paradygmaty stereotypy schematy
Ukrywała kobiecość pod maską
Siły siejąc lęk i zniszczenie

Wyszedł na polanę
Spojrzał w niebo uniósł ręce
„Piękna jesteś, Burzo.
Dziękuję Ci
Masz odwagę na gniew
Jeśli chcesz
Spadnij na mnie deszczem użyźnij mnie
Daj życie martwej ziemi odgoń suszę

Pokochałem Twój gniew
Chcę móc kochać i łyć”

Nieboskłon rozcięła luna
Zasłona rozdarła się przez środek
Z góry na dół

Na ziemię spadła pierwsza kropla

Na imię jej Róża

Chcą tonać w jej pięknie
Zatopić usta w płatkach
Upić się wonią
Czerpać pełnymi garściami
Posiąść na własność
Patrzą łakomym wzrokiem
Podziwiają wielbią snują
Fantazje domysły podstępny
Zakładają się który z nich jako pierwszy
Posiądzie na własność

Taka piękna
Taka niewinna
Skromnie spuszcza głowę
Przygląda falbanę sukni
Wie że czerwień ich pociąga podnieca lecz
Dla Niej jest medalem
Triumfem radości nad ich fałszem
Jasnych perfum nad odorem ich ust

Mama ostrzegą
Bądź jedną z wielu
Biel znaczy skromność
Czerwień to krew
Krew na twej białej sukni

Poszła swoją drogą
Pozwoliła sobie na kobiecość i krótkie spódniczki
Pozwoliła sobie należeć do samej siebie
Pozwoliła sobie na moc i samodzielność
Ukrywając pod fałdami sukni to
co najcenniejsze

Kolce

Na imię jej Deszcz

Lata doświadczeń nauczyły ją skromności z nutą wycofania
Spokojnej obserwacji pokornej refleksji
Zmęczenie i znużenie pokolorowały suknię
Teraz splywa w dół ciepłą szarością
Kolory zostawiła dzieciństwu
Poszła naprzód gasząc po drodze płonące mosty

Wielu jej nie dostrzega
Wielu jej nie szanuje
Wielu nienawidzi
Nie czyta opinii tabloidów starczy że je zna
Wie że siła tkwi w mądrości
A mądrość w Ciszy
Idzie naprzód gasząc gwałtowność i rozpacz

Często mówią o Niej: „Płacząca Madonna
Wiecznie zrozpaczona stara dama”
Nic bardziej mylnego-
Z pokorą i cierpliwością Wojownika Światła wypełnia swoje zadanie
Niewielu ją szanuje lecz ona chce kochać wszystkich kochać świat
Nie musi odpłacać pięknem za nadobne
Idzie naprzód gasząc buntownicze nastroje

Nie pragnie by doceniono jej pracę
Dostrzeżono jej piękno
Chłodna rezygnacja miesza się z gorzką nutą
Smutku?
Nie on ma dla niej smak miodu
Pozwala być naprawdę sobą
Zbyt wiele widziała zbyt wiele rozumie

Ona gasiła Rzym i Warszawę
Ona gasi Mariupol i pożogę puszczy
Ona nawadnia zasuszone pola
Dzieli dar równo między dąb i koniczynę
Ona sama płacze
Gdy ludziom nie starcza łez
Ona jest początkiem Życia
O ile krąg może mieć początek
Czasem jak pomoc domowa sprząta błędy rasy ludzkiej i karmi jej dzieci

Chciałbym
Namalować jej portret
W szacie z mgły
Milczącym uśmiechem jaśniejącą smutkiem
Z rogiem obfitości w dłoni



Karolina Majorowska, 16 lat
Godło: „Malena”, Warszawa
III miejsce poezja młodzież

Dyptyk o Dzieciach Holokaustu – Hesio i Szewach

Hesio (Hersz)*

*Wiersz napisany na podstawie biogramu i wspomnień
pani Hanny Gumprich*

Hesio chłopczyk był wesoły,
zawsze chciał chodzić do szkoły.
Jego siostra Hania miła,
pisać, czytać go uczyła.

Razem z tatą się bawili
i piosneczki swe nucili.
Często w lesie też bywali,
a latem w rzece pływali.

Hania bardzo go kochała,
często o nim wspominała.
Kiedy biegał bez jedzenia,
wyśpiewując swe marzenia.

Los dla Hesia był okrutny,
jakiś człowiek bardzo butny.
Zabrał chłopca od rodziny
w jedenaste urodziny.

Potem w pociąg go wsadzili,
innych też tam zapędzili.
Wszystkich w ciemny las zagnali
i ich tam pomordowali.

Hania więcej szczęścia miała,
życie swe uratowała.

Wciąż pamięta Hesia brata,
choć minęły długie lata.

***Kto w naszej pamięci się skryje,
ten nie umarł, ten wciąż żyje.
I gdy z troską jego wspominamy,
to o złych czasach nie zapominamy.***

***Hesio (Hersz) Gumprich** urodzony w 1931 roku w Grodźcu (wieś w powiecie konińskim). We wrześniu 1942 roku, w czasie tzw. wielkiej szpery, gdzie Niemcy przeprowadzali na masową skalę selekcję ludzi zdatnych do pracy, by pozbyć się osób nieproduktywnych, czyli starszych i dzieci – Hesio został oddzielony od reszty rodziny. Wywieziono go, jak innych w jego sytuacji, najpierw koleją, potem pieszo do Chełmna nad Nerem. Stamtąd w samochodzie – komorze gazowej do pobliskiego Lasu Rzuchowskiego. Zginął otruty spalinami, a jego ciało spalono. Prochy zostały rozsypane w lesie, bądź je zakopano.

Szewach (Szejwach)**

Wiersz napisany na podstawie biografii Szewacha Weissa

Wojna w Borysławiu go zastała
i spokojne dzieciństwo przerwała.
Ukrywał się w ciemnej piwnicy,
z dala od miejskiej ulicy.

Chował się za ścianą w sklepie,
nie widział też chmur na niebie.
Bo tam bardzo wąsko było,
jednak ważne, że się przeżyło.

Po wojnie zamieszkał w swym domu,
o złych czasach nie mówił nikomu.
Gdy tylko rozpoczął swoją edukację,
to przyszła już pora na emigrację.

Najpierw w Wałbrzychu przebywał,
potem w Wiedniu i Lintzu bywał.
Mieszkał też we włoskiej krainie,
ale myślał wciąż o Palestynie.

W młodości był też sportowcem,
lekkoatletą i ciężarowcem.

Był sierżantem w armii Izraela,
nim zaczęła się polityczna kariera.

Przewodniczący w żydowskim Knesecie,
w Hajfie profesor na uniwersytecie.
I w końcu przyszła też taka pora,
że powierzono mu rolę ambasadora.

Powraca do Polski i często jest z nami,
buduje więzi pomiędzy Żydami i Polakami.
Wie, że dzięki Polakom też żyje,
mówi o tym głośno i z tym się nie kryje.

***Dzieci holokaustu są często bez mogiły,
są też i takie, które złą wojnę przeżyły.
To dzięki nim okrutna prawda żyje
i to co kiedyś było, nigdy się nie ukryje.***

** **Szewach (Szejwach) Weiss** urodzony w 1935 roku w Borysławiu (II Rzeczpospolita, obecnie Ukraina). Izraelski politolog, polityk i dyplomata. Profesor nauk politycznych, przewodniczący Knesetu (1992-1996), ambasador Izraela w Polsce (2001-2003). Od 2000 roku jest Przewodniczącym Rady Instytutu Pamięci Jad Waszem. Wykładowca na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Publikował w tygodnikach: „Wprost”, „Uważam Rze” i „Do Rzeczy”.

TRYPTYK „Limeryki poetyckie”

Być poetą

Być poetą, nie grafomanem,
łowcą słów, poezji panem,
Natchnionym
i spełnionym,
po cichej nocy, tuż nad ranem.

Nie pisz więcej

Moja poezjo, co w sobie masz,
bądź szczerą i odkryj swą twarz.

Słowa – różne,
wiersze – próżne,
nie pisz już więcej, ani mi się waż !

Nie jestem profetą

Czuję wielki ciężar na swej duszy,
to wynik wewnętrznych katuszy.
Nie jestem profetą,
chcę być poetą,
którego słowo niejednego wzruszy.

Śmierć i Życie

Z cyklu: Samo życie

Śmierć do Życia zapukała
i na progu je zastała.
Zapytała z zaskoczenia,
patrząc w oczy od niechcienia:

*- Chyba nie w porę przybyłam,
bo cię trochę przestraszyłam.
Ale dla mnie to żadna nowina,
gdyż u wielu tak to się zaczyna.*

*Każde Życie jest zdziwione
i zazwyczaj zaskoczone.
Gdy otwiera drzwi w szlafroku,
a Śmierć stoi tuż na progu.*

*Lecz tym razem ja przybyłam,
a właściwie się zjawiłam,
By rozmawiać z tobą – Życie,
o twym bycie lub niebycie.*

*Coś ty dobrego zrobiło Życie,
tutaj w swoim ziemskim bycie.
By nie znaleźć się w niebycie
i uzyskać wieczne życie ?*

Życie smutno zapłakało
i dopiero zrozumiało,
Że niewiele uczyniło,
by na wieczność zasłużyło.

*- Daj mi kredyt zaufania,
do lepszego rozeznania.
Wiele czasu się straciło,
bo się jakoś głupio żyło.*

*Jeśli jeszcze mi pozwolisz,
a mną się później zadowolisz,
To przysięgam ci ja – Życie,
że nie znajdę się w niebycie.*

*Wyprostuję kręte drogi,
wesprę tego kto ubogi.
Życie bliźnim ofiaruję
i się więcej nie zbuntuję.*

Śmierć tych wyznań wysłuchała,
po czy krótko skwitowała:
*- Jeśli nie chcesz być w niebycie,
to poważnie traktuj życie !*

Muchy na kolację*

/inspirowany wierszem Marii Konopnickiej „Muchy samochwały”

*- Mam dziś wielką rewelację,
będą muchy na kolację.
Tak oznajmił pająk stary,
przecierając okulary.*

Powiedział to do całej rodziny,
w swe dziesiąte urodziny.
Bo chociaż stary i leniwy,
to wciąż na muchy jest łapczywy.

*- Powiem teraz jak to było,
że te muchy się złowiło.*

*Wpadły przez swoje chamstwo,
no i także przez pijaństwo.*

*Wiecie, że w karczmie się pije,
przez to nam się dobrze żyje.
Tym razem dwie muchy przyleciały
i obie się jasnym piwem uchlały.*

*Przez cały czas się przechwalały
i oczywiście z pająków się śmiały.
Chwaliły się, ile to sieci narwały,
przy tym tęgo sobie popijały.*

*Kiedy muchom się dobrze zrobiło,
a w ich głowach się już zakręciło.
Wtedy obie w powietrze się wzbiły
i prosto do mojej sieci trafiły.*

*Dzięki temu będziemy ucztować
i moje urodziny wesolo świętować.
A muchy, lepiej niech dużo nie piją,
bo może wtedy też i dłużej pozują.*

*Sejm RP ogłosił m.in. patronką roku 2022 Marię Konopnicką – pisarkę, poetkę, tłumaczkę i publicystkę w związku ze 180 rocznicą jej urodzin.

Jeśli wam się to nie podoba ...

Z cyklu: Folwark zwierzęcy 2022

*Motto: Historia uczy, że demokracja bez wartości,
łatwo się przemienia w jawny
lub zakamuflowany totalitaryzm.
Jan Paweł II*

Na spotkaniu przy kolacji,
mowa jest o demokracji.
O równości, co wkoło panuje,
że nikt nikogo nie wykorzystuje.
Dyskutują - jeż ze słoniem,

także mrówka razem z koniem.
Wszyscy wszystko komentują,
smaczne jadła konsumują.

Słoń zjadł cały wór kapusty,
a przed koniem żłób już pusty.
Mrówka tyknęła małego okruszka,
język przegryzł dwa jabłuszka.

*- W demokracji równi wszyscy,
wiadomo - ci dalecy i ci bliscy.
To powiedział głośno słoń,
zgodził z nim się tylko koń.*

Jeż wraz z mrówką popatrzyli
i troszeczkę się zdziwili.
*- Tej równości nikt nie widzi,
pewnie słoń z nas tylko szydzi.*

Pomyślała sobie mrówka,
choć mała u niej główka.
Wie, że słoń to krętacz stary,
nikt nie daje mu więc wiary.

*- Wszyscy mówią o równości,
a to prowadzi nas do złości.
Każdy głupi o tym dobrze wie,
więc niech słoń nie mami mnie.*

Tak to pomyślała mrówka:
*- Nic nie warte słonia słówka,
bo tę równość w demokracji,
było widać przy kolacji.*

*- Z demokracją bywa różnie,
kwadratowo i podłużnie.
Są tu równi i równiejsi,
jedni wielcy, drudzy mniejsi.
Koń ze słoniem są równiejsi,*

*no bo przecież są mocniejsi.
Jeź i mrówka zaś są równi,
powinni być też z tego dumni.*

Podsumował krótko koń,
zgodził z nim się tylko słoń.
**- A jeżeli wam się tu coś nie podoba,
to spytajcie o wszystko Pana Boga!**



Grzegorz Sobkiewicz, 14 lat
Godło: „Grechut”, Stalowa Wola
wyróżnienie poezja młodzież

List o Babci...

moja babcia odeszła cichutko
kiedy północ pukała
do drzwi nocy
nic ze sobą nie zabrała
może jedynie marzenia
pozostawiła po sobie
wspomnienia i żal
nie powiedziałem jej
ten ostatni raz
jak bardzo ją kocham
okrutna Śmierć nie poczekała
bo wiedziała, że tych ostatnich
razów będzie tysiące
nie udało mi się oszukać
nieugiętej Kostuchy
a najgorsze jest to
że nikt nie zauważył
babcinego odejścia
czas nie zatrzymał

wskazówek starego zegara
kalendarz nie zaprzestał
codziennego odliczania
chyba tylko moje serce
poszarzało i na chwilę
przestało bić
ściśnięte pustką i Jej
wielką nieobecnością
bo kiedy zawołam
„babciu”
już nie odwróci głowy...

W mojej filharmonii...

wygodnie rozłożyłem się
wśród wysokich traw
migających kropelkami
życiodajnej rosy
na pachnącej bieluchnej koniczynie
pod złotookim jaskrem
przyjąłem dzisiejsze zaproszenie
więc z niecierpliwością
czekam na poranny koncert
w łąkowej filharmonii
pierwszy takt
należy do szarego skowronka
tuż za nim nieśmiało
swymi harfami tęczowe motyle
delikatnym płasem tną ciszę
wtórują im ważki
flecistki niedoścignione
za nimi niepewnie
świerszcze
stroją swe wiolonczele
drgają na zroszonych łądygach
strącając pyłki drobnego rumianku
zamykam oczy
marzenia tańczą tuż obok
i wtedy puchaty bąk zamruczał
głucho kontrabasem skacząc z pąka na pąk

ach jak przyjemnie
tak poleżeć w chmurce rozsianych nut
słuchać jak melodia wolno rozlewa się
przenika ciepłe powietrze
och a kiedy nadleciały miodne pszczoły
nadciągnęły niczym waltornie
wybuchła muzyka kwiecista
rozsiała się pośrodku
błyszczącej łąki
komary, biedronki, żuki i trzmiele
rozłożyły dźwięki pośród ziół i kwiatów
chowają je w listkach i kielichach
nawet mały pajęczek zazdrosny
uparcie szarpie swą sieć niczym
skrzypek wytrawny...
i wszyscy razem
stworzyli harmonię poranka
pulsującą życiem w promieniach słońca
dziś tylko dla mnie...

Melodia nocy

czarna noc
otula świat
szalem szarości
gwiazdy jak nuty
rozsyłała na granatowej pięciolinii nieba
przez otwarte okno
wraz z bladym światłem zaspanego księżycyca
wlewa się owadzi psalm
wypchany kocim lamentem
cykanie świerszczy jest kołysanką
dla zajęczych dzieci
ukrytych w starym pniu lipy
żaby chórzystki niedoścignione
wybijając rytm
wtórują taktem nocnym markom
szukającym schronienia
wśród gałęzi wonnego bzu
przed chłodem wpływającej ciemności

melodia z wolna cichnie
wirtuozi zasypiają
Dzień ustąpił miejsca
swej siostrze Nocy
a ta chowa batutę
i pohukiwaniem puszczyka
kończy koncert...

Kategoria
- poezja -
młodzież



Ewa Świątek, 13 lat

Godło: „Maliadne”, Bojanowo

I miejsce proza młodzież

Brinerest to ponad wszelką wątpliwość najpiękniejsze miasto królestwa Echaviel, niegdyś przepelnione zadziwiającym, nieskazitelnym pięknem i przepychem, otoczone wieloma majestatycznymi szczytami, klifami, wodospadami, wulkanami czy jaskiniami, zamieszkałymi przez syreny, wróżki czy nimfy, elfy i skrzaty, każdego rodzaju zwierzęta obdarzone niewyobrażalnymi wręcz zdolnościami. To najbardziej tętniące życiem, zdecydowanie najbardziej inspirujące miejsce, jakie kiedykolwiek oczy mogły ujrzeć. Ci, którzy choć raz mogli przyjrzeć się temu fascynującemu urokowi, dogonnie wspominać będą tę niezwykłą ekspedycję, jaką w czasach zamierzchłych przebyli.

A teraz? Najpotężniejszy istniejący demon, władca piekieł, najbrutalniejszy tyran, o imieniu Osiris, sprawuje władzę nad owym miastem, pragnąc wyczyścić wszelką magiczną krew pewnych subtelnych, wrażliwych, choć niewątpliwie potężnych istot, znanych, jako Duszki Emiko. Były to maleńkie, anielskie, niewinne można by rzec dziewczynki, chronicznie pozostające dziećmi. Nigdy jednak nie widziały naszego świata, bowiem... Ich życie toczyło się w snach, oraz myślach wszelkich stworzeń. Każdej nocy, potajemnie „wskakiwały” do umysłów innych istot, mogły więc decydować co do sekundy o losie osoby, w której ciele się znajdowały, poznawać jej największe sekrety, słabości i mocne strony. Za dnia zaś sypiały w pewnych magicznych kwiatach, aby zregenerować siły. Kwiaty te były ukryte w największym lesie Brinerest, w maleńkiej i niepozornej jaskini, położonej nieopodal Wrzosowej Zatoczki, zamieszkałej przez najrozmaitsze morskie stworzonka. Strzegły ich tak zwane Wróżki Caliadne. Były to w całej swej okazałości strażniczki natury, miały kontrolę nad wszelkimi zdarzeniami zachodzącymi w przyrodzie. Niemożliwe było przejście ich drogą bez wyrządzonej jakiegokolwiek szkody na ciele, blizny, bowiem broniły swego nieustępliwie, mimo tak niewinnej i delikatnej, przepelnionej empatią mentalności.

I dopóki Osiris nie odnalazł ich domu, wszystko było bezpieczne. A na chwilę obecną zarówno doczesność Duszków Emiko, jak i Wróżek Caliadne, jest krytycznie zagrożona, i ich maleńkie królestwo, życie, może zniknąć już na zawsze. Gdy wyginie ostatnia przedstawicielka owych wróżek, cała przyroda, wszelkie rośliny, zwierzęta, spokojnie żyjące na tej planecie...

Zrównają się z ziemią w szybkim niczym światło tempie, i z królestwa słynącego z naturalnych obiektów, obrzucanych wieloma komplementami przez przybyszy z najróżniejszych krain, zostanie jedynie czarny proch.

Za to, gdy zginie ostatnia dziewczynka z rodu Duszek Emiko...Znikną myśli. Marzenia. Wspomnienia. Sny. Oraz, co najważniejsze – wszelka mądrość, świadomość, miłość, nienawiść. Zniknie wszystko, co znajduje się w naszych umysłach. I nie zostanie już praktycznie nic, co sprawia, że tętni życie.

Dlatego teraz królestwo Echaviel zмага się z najpoważniejszym problemem, którego nie sposób sobie wyobrazić – przy życiu została tylko jedna mała dziewczynka z mocami Duszków Emiko, oraz jej matka, czyli jedna Wróżka Caliadne.

I to one dwie muszą zmierzyć się z nieustępliwym Osirisem.

Słońce właśnie wstawało, chyliło się mozołem ku szczytowi nieboskłonu oślepiając swym najczystszy blaskiem wszelkie istoty przechadzające się po królestwie Echaviel. Światło to wpadało choćby w najmniejszej ilości do różnorodnych domów, jaskiń, zakamarków, budząc wszystkich mieszkańców Brinerest. Towarzyszył mu delikatny i niejako przyjemny, rześki wiaterek, który świerbił liście, włosy, kwiaty tworzące wielobarwną szatę na łące...

Aż wreszcie owe jaśniejące słońce, oraz jego permanentny kompan – wiatr, dotarli do pewnej urodziwej kobiety o niespotykanej, urzekającej urodzie, śpiącej niewinnie na ukwieconym łożu. Pęd powietrza jakby psotliwie bawił się płowymi włosami dziewczyny, unosił je naprzemiennie raz w górę, raz w dół, a największa w Układzie Słonecznym gwiazda lśniła nad jej głową coraz to bardziej promieniście, jakby za wszelką cenę chciała ją obudzić.

Dorodna kobieta wreszcie otworzyła swe piękne, błękitne ślepie i zaczęła rozglądać się z zaspanym, niemalże nieprzytomnym wyrazem twarzy.

– Wietrze mój drogi, jakieś nowiny z centrum Brinerest? – odezwała się niezwykle ciepłym, wysokim głosem, wciąż jakby rozkojarzonym, jeszcze pogrążonym we śnie.

Wiatr, który jeszcze chwilę temu płał figle zatrzymał się na moment i zaświszczal dwukrotnie. Nie było go nigdzie widać, to oczywiste, wszakże czuć było wyraźnie jego skrytą gdzieś w gąszczu, koronach drzew, może wiszącą gdzieś pod obłokami... Obecność.

– W porządku, dziękuję. Cieszę się, że jeszcze tu nie przybył. Widocznie ma inne, ważniejsze sprawy na głowie, niż nawiedzanie naszej jaskini – odetchnęła z ulgą dziewczyna.

Nagle z ostrokrzewu rosnącego nieopodal wyskoczyła młoda, pełna energii sarenka, która natychmiast skierowała się w stronę siedzącej na trawie blondynki.

– Aeris! – pisnęła wysokim, nieśmiałym głosem, po czym stanęła przed drobną kobietą i zaczęła patrzeć jej głęboko w oczy cała roztrzęsiona.

– Co jest, kochana? – spytała zmartwiona Aeris, głaszcząc czule chudą sarenkę po nakrapianej głowie. – Czy coś się stało?

– Nie mnie, ale... W lesie owszem, coś się stało! Przed chwilą widziałam jednego z wysłańców Osirisa włączającego się obok zatoczki.

Zdenerwowana wróżka zamilkła na moment, wpatrując się niepewnie w równie przepełnione strachem oczy małej sarenki. Nie miała siły, by cokolwiek powiedzieć. Wiedziała, że nie jest gotowa, by wygnać Osirisa z Królestwa Echaviel, jej ukochanego domu, który... Choć z każdym dniem stawał się coraz bardziej obcy i odległy, był obdarzany przez nią nieskazitelną, trwającą miłością.

– Szukają nas – powiedziała wreszcie. – Ten okropny demon chce rozprawić się z nami raz na zawsze i jak widać, nie zwleka – westchnęła, po czym na moment całkowicie zawiesiła się.

Aeris spojrzała w górę z iskierką nadziei w oczach. Kłębiące się, białe niczym arktyczny śnieg obłoki wykonały kilka subtelnych, jednak zwinnych obrotów, kłaniając się przed niezwykłą Wróżką Caliadne. Ta z nie małym skupieniem przyglądała się im, a następnie wzięła głęboki wdech, oraz oznajmiła:

– Chmury mi powiedziały... Mamy dwie opcje.

Małeńka istota z szeroko otworzyła oczy, choć wciąż przebierała nerwowo chudymi nóżkami, z niecierpliwością czekając na odpowiedź swojej właścicielki.

– Możemy albo uciekać, albo rzucić się na nich pierwsi. Nie wiem, co będzie lepsze. Ale... Zdecydowanie nie jesteśmy gotowi na natychmiastowy atak, potrzebujemy czasu na obmyślenie strategii oraz tak niezbędną regenerację – przerwała na chwilę. – Wiedzą, gdzie jesteśmy. Nie możemy tu zostać, to już zbyt niebezpieczne miejsce.

– I pomyśleć, że nie tak dawno nazywaliśmy je bezpiecznym domem... – westchnęła cicho młoda sarenka.

Tej nocy Aeris nie była wstanie posnąć. Wierciła się wciąż i lamentowała chyłkiem pod powierzchnią kwiecistej kołdry, aż jej piękne i lśniące oczy okalane zostały niczym niemęczonymi łzami. Katya, gdyż takie imię nosiła drobna przyjaciółka z rodu saren, sypiała zazwyczaj gdzieś w środku lasu,

lecz dziś... Chciała dotrzymać towarzystwa swej właścicielce. Wtulona w jej bok, spała snem głębokim, co jakiś czas dyskretnie wymawiając niewyraźne słowa, wydając niewątpliwie dziwne dźwięki.

W końcu młodziutkiej wróżce udało się zapaść w sen. Była w końcu wycieńczona, gdyż myśl o nieustępliwym Osirisie doprawdy ją przejęła. Konflikty nie były jej mocną stroną. Do jej rutyny należało zachowywanie się pokojowo, nie wyobrażała sobie życia z wrogością do jakiegokolwiek żyjącego stworzenia.

Aż wreszcie... Otworzyła swe ślepia. Znalazła się pośrodku spadzistego, naprawdę obszernego bordowego wąwozu. Niebo było czarne i pozbawione jakiegokolwiek urokliwości, ponure, przyprawiające o nieprzyjemne dreszcze i nieustępliwie, pesymistyczne myśli. Ujrzała rozpościerające się nad głową skały o różnorodnych kształtach, najwidoczniej bazaltowe, pozostałe po dawnych kraterach wulkanu.

Z przeciwka wyszła jej młodziutka dziewczynka. Na jej głowie znajdowała się burza zakręconych, jasnych włosów, do których przywiązany był niezwykle mocno kosaciec bródkowy. Odziana była w bielutką, zwiewną sukienkę przeplataną kolorem lazurowym.

– Ojej, to Ty, moja kochana Airella! Czyżbyś znów przybyła do mnie w śnie?

– Witaj, matulu! – krzyknęła wniebowzięta, przeniknięta nieprzemijalną radością dziewczynka. – Przybyłam do Ciebie tej nocy, by Ci coś przekazać, i... Choć nie jest to wiadomość dobra, musisz wziąć ją sobie do serca.

Niepewna Aeris na chwilę się zawahała, jednak po krótkim przemyśleniu gestem zasygnalizowała, iż córka może kontynuować wypowiedź.

– Widzisz zapewne otaczające nas kaniony, w każdym calu przepełnione ciemną, jakby gniewną czerwienią – spoważniała. – Zabrałam nas do snu Osirisa, jego mrożącej krew w żyłach nocnej krainy, i... Och! Cóż, niestety... My... – nie mogła skończyć. Przełknęła szybko ślinę, niepewnie śledząc wzrokiem podmuch wiatru.

– Tak...?

– Musimy stoczyć z nim walkę jeszcze tej męczącej nocy. Panuje nów, czyli faza, która najbardziej osłabia moc demonów. One czerpią moc z księżycowego światła, a gdy ono nie otacza nas... Możemy być pewne, że ten tyran nie działa na pełnych obrotach! – na moment rozchmurzyła się, po czym znów stała się poważniejsza. – Mamy jeszcze dwie godziny do jego przebudzenia. Musimy iść i uratować nasze królestwo. Miasto Brinerest. Oraz istnienie Duszków Emiko i Wróżek Caliadne. Zrobimy to, mamó! Obiecuję.

Aeris westchnęła i przez chwilę zwątpiła w słowa córki. Była zdeterminowana i za wszelką cenę chciała uratować życie królestwa... Oraz ich samych. Tak naprawdę nie dziwiła jej się, od zawsze wykazywała cechy dzielnej wojowniczkki, stawiającej sobie ponad wszystko dobro otaczających ją istot. Była z niej dumna. A dziś... Będzie musiała stoczyć bój po stronie dobra u jej boku.

– Wchodzę w to – powiedziała śmieiej. – Z Twoimi i moimi zdolnościami... Osiris nie ma szans. Damy radę!

Zadowolona Airella uśmiechnęła się, po czym przytuliła czule młodą kobietę. Następnie rzekła:

– Mamo, czy możesz wykreować dla nas coś... Fruwającego? Lepiej będzie jak najszybciej dotrzeć do tego tyrana... Zresztą i tak z góry nie powinien nas zauważyć.

– Jasne! I myślę, że na taką okazję idealne będą latające burzowe chmury. Szybkie, niemalże niezniszczalne... I gdy tylko taka będzie moja wola, mogą wywołać naprawdę niezłe załamanie pogody!

Aeris wyciągnęła przed siebie dłonie, po czym wypowiedziała krótkie zaklęcie. Po upływie dosłownie ułamka sekundy, przed nią ukazał się ogromny wir migoczących iskierek, rozświetlających panującą wszędzie ponurą ciemność. Momentalnie zamieniły się one w coś przypominającego szarobury tuman, i... Rzeczywiście, przeistoczyły się w burzową chmurę!

– Wskakuj, kochana, i trzymaj się mocno! Zaczynamy lot... – wyszeptała wróżka.

Po chwili ogromny obłok wzbił się w powietrze i z niewyobraźną chyżością pokonywał kolejne metry. Na horyzoncie widać było jedynie wędrujących po ciemnych skałach sługusów oraz uczniów Osirisa. Nie zdawali sobie tak naprawdę sprawy, iż nad nimi lewituje ogromny, naturalny pojazd...

– Airello moja droga, mam pewien plan.

– Tak?

– Jak dobrze wiem, nawet w snach jesteś w stanie wkroczyć do umysłu jakiejkolwiek żywej istoty, a także przejąć nad nią kontrolę, mam rację? Chciałabym, byś przejęła duszę jednego z tych młodych demonów, a następnie – w jego ciele rzecz jasna – podążyła do Osirisa i zajęła go czymś. Możesz wyimaginaować sobie jakiś podstęp, byleby nie spostrzegł, iż to Ty! Cóż... Wiem, że dasz sobie radę.

Airella zamknęła na chwilę oczy i pierwszorzędnie wglębiła się w swe wyobrażenia dotyczące wyglądu ucznia Osirisa, a następnie... Zniknęła. Poddenerwowana Aeris już chciała zeskoczyć na dół w poszukiwaniu córki,

jednak po chwili zauważyła, że jeden ze stworów macha ręką w jej stronę gestykulując, że ma się zbliżyć. Kobieta spostrzegła się, że jest to przejęty przez Duszka Emiko demon, toteż subtelnie zeskoczyła z wysokości na ziemię, rozwijając przecudowne, wielobarwne skrzydła.

– Czy to Ty, Airello? – spytała dla pewności.

– Och, tak, to ja! Mam dostęp do wszelkich imaginacji tego malca, co więcej... Po prostu nie uwierzysz! Jest to sam w sobie syn Osirisa, z którym ma wręcz niezawodne, cudownie rozwinięte relacje! Z pewnością się mnie posłucha.

– To on ma syna? – spytała z niedowierzaniem. Myślała przez chwilę, następnie pomachała kilkukrotnie głową oraz spojrzała na swą córkę pytającym wzrokiem. – Wiesz może, gdzie teraz jest Twój ojciec?

Aeris mrugnęła do córki jednym okiem. Chciała zwracać się do niej tak, jakby rzeczywiście była prawdziwym potomkiem Osirisa. Nikt nie mógł przecież podejrzewać, że to zwykłe kłamstewko!

– Właściwie, jest on tam! – wskazała czerwoną, krótką ręką na stojącego sto metrów dalej ogromnego, umięśnionego demona. – Lepiej zmyj się stąd... Jeszcze Cię dojrzy!

Ciemnowłosa dziewczyna nie zwlekając wzniosła się ponad skalisty grunt, obserwując z góry kroczącą w innym ciele Airellę. Dostrzegła, że zbliża się ona do Osirisa, i w tym samym momencie po jej plecach przebiegł dreszcz.

Ni stąd, ni zowąd, ogromny demon z furii wydobył z siebie potężnie wrzaskliwy, niski krzyk. Dosłownie wszyscy kroczący wokół sługusi oraz podopieczni nauczycieli zaczęli nerwowo biegać, ponadto niektórzy zaczęli wydobywać z siebie nerwowe wrzaski. Byli zdezorientowani i zupełnie nie wiedzieli, co stało się ich królowi, tak potężnemu przecież władcy.

Syn Osirisa podszedł do ojca nieśmiało, co doskonale widziała Aeris. Wyostrzyła słuch, choć tak właściwie również wzrok, starając się wyłapać z tej konwersacji tak wiele, jak tylko można. Opętany przez nerwy demon niechętnie przywitał się z własnym potomkiem, po czym zwrócił się do niego:

– Co u Ciebie słychać, Callum? Przygotowałeś może moją armię? Są gotowi na rozprawienie się z tymi okropnymi władczyniami lasu?

Callum bardzo pewnie, bez zawahania przytaknął. Najwidoczniej Airella ma wiedzę dotyczącą wszystkiego, co zrobił ten młody demon – pomyślała Aeris. Proszę, tylko nie wpakuj się w żadne kłopoty!

Dusza wypełniona aż po brzegi dumą z syna obudziła w brutalnym tyranie troszkę czułości. Choć nie sięgała ona nawet do pięt dobru wrózek,

trzeba przyznać, iż jak na demona, w roli ojca spisywał się całkiem nieźle. Chwila zadowolenia trwała jedynie przez parę sekund, po chwili Osiris znów założył na twarz maskę niezadowolenia i rzekł:

– Twój niemiły koleżka zawałił całą robotę, jaką mu powierzyłem! Miał odnaleźć tę całą Aeris, czy jakkolwiek się ona zwie, oraz kwiat, którego strzeże... Jest tam ta mała dziewczuszka, która posiada nieupadłą kontrolę nad umysłami. Możliwe, że uciekły! – prychnął. – Lub jest to zwyczajny tchórz, który bał się podejść do jakiejś byle wróżki. Ależ to wstyd!

– Ojcze, spokojnie. Znajdziemy je razem i wypędzimy z tego marnego królestwa, choćby nie wiem co! Popamiętają nas na długo... – zapewnił Callum. – A teraz, chciałbym zaprezentować Ci moje umiejętności walki. Szlifowałem te predyspozycje do upadłego, by podczas boju dać popalić mieszkańcom Brinerest i otwarcie dążyć do tego, być wyszedził każdy mój ruch!

Zmieszany Osiris ledwie zgodził się na propozycję Calluma. Nie chciał bowiem marnotrawić czasu wyłącznie dla popisów własnego syna. Z drugiej strony – mógł być dumny, że jego własny potomek z tak ogromnym zapalem zgłębia wiedzę dotyczącą sztuk walki. Aeris zaczęła wierzyć, że to się może udać, że... Podstęp jej przekochanej córki może się sprawdzić, i że nawet w snach będą w stanie pokonać tegoż okropnego drania!

Młody demon udał się z ojcem na dość obszerne pustkowia, na którym nie kroczyła żadna stopa prócz jego oraz Osirisa. Callum zaczął człapać wstecz, i gdy już znalazł dla siebie wystarczająco okazałą, wyniosłą przestrzeń, zaczął prezentować swe możliwości oraz predyspozycje w aspekcie walki. Zaczął podskakiwać, bujać się, fikać koziołki w tę i w tę, zadawać ciosy wyjątkowo umiejętnymi jak ten wiek kończynami. W pewnym momencie, co było ponad miarę widać, Airella straciła kontrolę nad tym, co robi, i posunęła się do użycia wycich nadprzyrodzonych zdolności. Przed nią pojawił się ogromny, ognisty żar, a następnie wymodelowała ona zarys trąby powietrznej, która momentalnie zaczęła wciągać wszelkie mniejsze kamieszki, skałki, pyły...

– Emiko! – krzyknął rozwścieczony Osiris. Wiedział już, że to podstęp.

Wystraszona Airella pisnęła, po czym wyskoczyła z ciała Calluma. Stała sam na sam z najpotężniejszym tyranem. Chciała sama, ostatkiem sił pozostałych po pokazie umiejętności, wykończyć tego, który właściwie, zabrał jej spokój, ukochany dom. Nie było czasu na wzywanie pomocy. Wiedziała bowiem, że posunęła się za daleko i nie może tego cofnąć.

– Zaraz pożałujesz, że chciałaś rozprawić się ze mną i to jeszcze w śnie!

Aż wreszcie... Na niebie pojawiła się jaśniejsza gwiazda. To była Aeris, która usiłowała pomóc młodej córce. Widziała, że tyran za moment zrówna

jej bezbronnie i bezsilne ciało z ziemią, więc czym prędzej pikowała w dół i popchnęła Airellę w bok. Teraz sama zalazła się w szponach demona. Jej ciało przeszył ogromny, nieustępujący ból, aż wreszcie... Nie widziała nic. Jej tak piękne ciało, włosy, odzienie zamieniły się w czerniejący proch. Skąły, drzewa, które rosły wokół zniknęły. Nad głową Osirisa pojawiły się ogniste plamy, zdawało się, że pożerają caluteńki nieboskłon.

Parę metrów dalej leżała zszokowana Airella. Spostrzegła, że Osiris ogląda przeistoczone w proch szczątki jej matki. Przez chwilę chciała się poddać, podejść do niego i powiedzieć mu prosto w twarz, że to koniec. Że ostatnia przedstawicielka Duszków Emiko poddaje się. Wiedziała, że sama nie da rady się z nim rozprawić ostatkiem sił. Zapłakała. Jej srebrzysta łza dotknęła podłoża i zatoczyła kółko, a następnie wchłonęła się w skalne podłoże. Zwinęła się w kulkę i kontynuowała lamentowanie.

Osiris podniósł się z powierzchni skalnej i zaczął przyglądać się niebu. Było czarne, pokryte nietypowymi znamionami... Ale coś tu nie pasowało. Na niebie pojawiła się maleńka iskierka. Z czasem powiększała się i powiększała... Miała jakiś znajomy kształt. Och, to łza, w całej swej okazałości! Zdawało się, że spada ona na ziemię... I owszem, zetknęła się ona bordowym podłożem.

Nagle całe pole widzenia wypełniło białe światło. Tak naprawdę, nie było widać nic, tylko oślepiający, tajemniczy blask. Wszędzie zapanowała grobowa cisza.

Po jakimś czasie, otoczenie wypełniła słodka melodia. Można było rozpoznać w niej znajomy głos. Głos Aeris. Światło powoli ustępowało, zaczęło znikać, aż osłoniło niemal przezroczystą, zarysowaną jedynie w powietrzu twarz owej Wróżki Caliadne. Na chwilę przestała śpiewać i oznajmiła:

– Twoja łza jest w stanie uleczyć wszystko, dlatego wygraliśmy. Od dziś jesteś królową całego Echaviel, także o mocach Wrózek Caliadne. Widzisz? Miałś rację. Odzyskaliśmy nasz ukochany DOM.



Jan Kocot, 13 lat
Godło: „Gawędziarz”, Bytom
II miejsce proza młodzież

Historia wolności

13 grudnia 1981

Płatki śniegu bielą się opadając miękko na ciemne ulice. Pada śnieg, prószy śnieg, wszędzie go nawiało. Dachy są już białe, na ulicach biało.

– Nie widać świata, jest cały w bieli – wykrzykuję podchodząc do okna.

W domu znowu ruch. Mama piecze moją ulubioną szarotkę.

– A skąd masz szare renety, mamcia? – Krzyczę, patrząc na rodzicielkę z ukosa.

– A wiem – odpowiadam sama sobie – Klocowa pewnie ze wsi przywiozła. A wiesz, mamcia, że ja dzisiaj banana widziałam. – I tak formułuję barwę głosu, żeby była bardziej wiarygodna. – No... Nie tak zupełnie widziałam, ale Ewka rzekła, że ta Ula z końca ulicy wcina coś na kształt tego rarytasu. Pomyśl mamcia, jakie to musi być pyszne?

Mama naraz odkłada wałek do ciasta:

– A cóż ci Anka banany do głowy weszły? Ciesz się, że ja dzisiaj mortadełę na kartki dostałam. Ach się wystąpiłam w kolejce! Ach, aż mi ręce przymarzły!

Naraz matula przycisza głos:

– Co oni tam w telewizji mówią? Anka uderz pięścią tego Rubina, może usłyszymy.

Podchodzę posłusznie i początkowo, z uwagi poszanowanie do tej zdobyczy techniki, mam opory w spełnieniu polecenia rodzicielki.

– No dalej, walnij mocno! – Gani mnie. – Chcę słyszeć, o czym ten Jaruzelski rozprawia.

– Ciii... – kładzie palec na ustach, kiedy generał w dużych okularach wypowiada słowa:

„Niniejszym informuję wszystkich Polaków o ukonstytuowaniu się Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego i wprowadzeniu na mocy dekretu Rady Państwa stanu wojennego na terenie całego kraju”.

– Wojna – jęczę głośno. – Mamusia wojna! – Powtarzam.

Twarz mamy pozostaje jednak nieruchoma, a usta wyginają się w grymasie zadowolenia.

- Pojawiła się iskierka nadziei, że znowu będziemy wolni – szepcze.
- Że co, mamcia? – Moje oczy stają się szerokie ze zdumienia.
- Wolność rodzi się ze śmiałości poczynań, córeczko! – Mama wypowiada słowa, które zrozumie dopiero po latach.

24 grudnia 1981

– Cicha noc, świata, noc... – śpiewa cichutko tatko, a spod okularów wypływają mu ciurkiem łzy.

Potem wszyscy milczymy. Cisza, jaka między nami panuje staje się niemal fizyczną bolączką. Odruchowo spoglądam na puste krzesło i moje oczy także robią się wilgotne. Jeszcze rok wstecz wujek Kazik huśtał mnie na kolanach i pozwalał odłamać swój opłatek, którego smak uwielbiam.

A potem nagle mój bezpieczny świat zniknął. Wujek jakby zapadł się pod ziemię. Moje usta jakby w obawie przed najgorszym, miały opory przed wypowiedzeniem słów:

– Gdzie on jest?

Aż pewnego dnia, ten Bartek spod jedyńki wykrzyknął mi prosto w twarz:

– Twój wujaszek był wrogiem reżimu. No musiał zginąć. Bo przecież zabito go podczas pacyfikacji strajku.

Mrużę oczy spoglądając na zdobyte cudem lampki na choince i naraz wykrzykuję głośno:

– „Wolnością ludzi zawładnie ten, kto zapanuje nad ich sumieniami”.

16 marca 1982

– Miasta zmieniły się w kwadraciki z okien – wykrzykuję spoglądając w okno. – Biją niebieskim blaskiem. Zaraz nadadzą Dziennik – zwracam się w stronę tatka.

Jednak on mnie nie słucha. Wkłada palto i kapelusz, a potem podchodzi do drzwi wyjściowych.

– Tadek, na litość boska, co ty robisz? – Mama łapie go za rękaw.

– A co? Na spacer idę – tata stara się, by jego głos brzmiął zwyczajnie.

Jednak w oczach mamy pojawiają się iskierki złości:

– Wielki bohater narodowy się znalazł. Manifestować mu się chce, że cały Dziennik i jego zawartość ma w nosie.

I patrząc mu prosto w oczy wykrzykuje:

– Czy ty, chociaż trochę o nas pomyślałeś?

– Dorotko – ścisza głos tatko. – Polska to dziś najsmutniejszy kraj samotnych, uciekających od siebie ludzi. A wolność umiera, bo od wielu lat nie jest używana.

Po chwili nastaje cisza, przecięta naraz chrzęstem zamykanych drzwi. Przez szparę od nieuszczelnionych okien wpada lodowaty podmuch wiatru sycząc: WOL-NOŚĆ, WOL-NOŚĆ.

18 kwietnia 1982

– Ocet, znowu ten przeklęty ocet! Z czego na ja upiekę tort urodzinowy dla taty? – W oczach mamy widnieje przerażenie i furia.

Naraz znajduję się przy niej i obejmuję, tańcząc z radości:

– A od czego masz swoją zaradną córeczkę?! Zobacz – otwieram kredens i wydobywam z niej kolejno: jajka, herbatę, kakao i cukier.

Oczy mamy robią się szerokie z wrażenia:

– Skąd to masz, Anulko? – całuje mnie w policzek.

– Ano Nowakowa dała mi cynk, że w sklepie na Chłodnej rzucili takie rarytasy, to stałam w kolejce... No cztery godziny się wystąpiłam. Miałam kartki.

– A kakao? – Dopytuje się mama.

Wbijam nieśmiało wzrok w podłogę i mówię zmieszonym tonem:

– Nabyłam od koników za dolary. No wiesz, od tych, co stoją koło hotelu Luksus. A potem, kupiłam... Kupiłam kakao w PEWEX-ie.

Początkowo mama zaciska nerwowo pięści, zaraz jednak podchodzi do mnie i gładzi po głowie:

– Zuch dziewczyna! Zuch! Ja też mam dla ciebie niespodziankę. Wyprułam mój stary sweter i zrobiłam ci z niego czapkę i szalik.

– Naprawdę? – Otwieram buzię ze zdziwienia. – Jesteś wspaniała! Ale... – waham się przez chwilę, po czym mówię stanowczo:

– Szalik oddam Olce spod piątki, tak mi jej żal. Ojca jej wywieźli. No wiesz, za poglądy.

– Ciii... – Mama przykłada palec do ust. – Nie wolno mówić nic głośno. Ściany mają uszy... Bezpieka jest wszędzie.

Uśmiecham się jednak szeroko:

– Co mi tam bezpieka! Upieczemy szarlotkę i zaprosimy wszystkich sąsiadów. Podzielimy się z nimi tym, co mamy.

– Brawo, córeczko – klaszcze w obie dłonie mama. – A ja obiecuję, że za twoje szczerozłote serce pozwolę ci bawić się na podwórku aż do wieczorynki.

– Hurrria! – Wołam. – Będziemy robiły fikołki na trzepaku. Czy może być lepsza zabawa?

Mój śmiech wypełnia całe dwa pokoje, jakie zajmujemy w bloku. Czuję się wolna. Wolna jak ptak.

14 maja 1983

– Jak to został pozbawiony wolności i odsadzony w więzieniu? – Wykrzykuje mama raz po raz, wycierając łzy.

– Oddziały ZOMO zajęły lokale zarządów regionalnych “Solidarności”. Zabraly Władka do więzienia, ale potem ma być internowany – głos tatka drży, wypowiadając te słowa.

– Boże, mój Boże, co to za czasy? Nawet do kościoła pójść człowiek się boi, bo krzywo patrzą – jęczy mama. – Nie ma naszego Władka, nie będzie już śmiechu. To jest prawdziwe więzienie.

Ojciec przez chwilę oddaje się zadumie:

– Nie, Dorotko, śmierć wolności to nie śmiech zakazany, to śmiech obowiązkowy!

14 stycznia 2021

Świat znowu zaszywa się w bieli, jak wtedy, kiedy zaczynałam pisać ten pamiętnik. Wtedy nie rozumiałam słowa „wolność”, teraz też nie do końca go rozumiem. Wolność... Wolność dzisiaj jest tak szeroka, że boję się wypowiedzieć zbyt głośno swoich osądów, żeby nie ograniczyć wolności innej osoby. Wolność... Mogę pracować w krajach Unii Europejskiej, po to, by stać się niewolnikiem pieniędzy. Wolność wyborów, taka, że pomimo uginających się półek w sklepach, nikt nie podaruje nikomu ani złotówki. Wolność... Prawo do swojej przestrzeni tak wielka, że już nie zapraszamy sąsiadów na szarlotkę. Chłodna i elegancka restauracja stała się pasującym miejscem. Wolność uczniów tak głęboka, że każdą swoją myśl przedyskutowują z psychologiem. Wolność dziecka tak wielka, że dzieli ją ze swoim smartfonem, zamiast wykrzykiwać jej tchnienie na podwórkowym trzepaku...

Zostałam poproszona o spisanie swoich wspomnień sprzed lat... Opowiedziane zostały one oczami dziecka, czasami przerażonego widokiem czołgów na ulicy, a czasami płaczącego ze szczęścia, dzięki wspólnie jedzonym kolacjom, dzięki noszeniu wydzierganego przez mamę swetra.

Tak żyło się nam wtedy, ludziom stanu wojennego, ludziom pozbawionym wolności... Tylko, czy wolność to prawo decyzji jak chce się żyć czy wolność sumienia? I czy dzisiaj można wykrzyknąć:

– Jestem wolna!?

Wolność... Wolność...

Być może rację miała moja świętej pamięci babcia, twierdząc, że idealne szczęście czeka na nas dopiero w niebie, u Boga? Że tylko tam będziemy w całej pełni szczęśliwi. I wolni... Wolni jak ptaki...



Natalia Maślej, 13 lat ***Godło: „Valar”, Nysa*** **III miejsce proza młodzież**

Błękitne oczy

Gęsi gęgały z przejęciem, biegając pod sierpniowym słońcem ogrzewającym zieloną trawę. Powietrze niemal stało w miejscu, jedynie delikatne listki wierzb w oddali bujały się lekko. Chmury mozolnie pokonywały nieboskłon, wielkie, powolne, niespieszne. Kawałek za gęsiami krowy muczaly dumnie, przeżuując zieleninę. Kobieta w mocno podeszłym wieku szła przez łąkę, podpierając się krótką, drewnianą laską. Krok po kroku pokonywała dystans dzielący ją między domem swoim a sąsiadki.

Niebieska sukienka falowała i powiewała na wietrze, gdy biegła przez łąkę. Mało by nie nadepnęła na biedne zwierzęta uciekające spod jej nóg. Uśmiechała się jasno i radośnie, zmierzając ku prostej chacie jej najlepszej przyjaciółki. Było jej gorąco, tak strasznie gorąco. Upał dawał się we znaki, dlatego też ubrała się lekko i zwiewnie. Matka kolor jej urodzinowego prezentu, błękitnej sukienki, dopasowała pod odcień oczu córki, które teraz biegały i skakały od jednej rzeczy do drugiej jak koniki polne.

Mimo panującego wszędzie gorąca i parności opatulila się lnianą chustą, spod której wystawały siwe loki, a łypały ciepłe, lecz zmęczone niebieskie oczy. Kiedy w końcu dotarła pod drewnianą chatę pokrytą strzechą, zapukała słabo w chwiejące się drzwi. Wszystko było odbudowane niezgrabnie i nieskładnie, a w niektórych miejscach wciąż widać było przypalone lata temu drewno. Chwilę później ujrzała twarz swej przyjaciółki, równie starą i miłą jak jej własna.

Bez pukania wpadła jak burza do dość dużej, względnie nowej chaty, piszcząc cieniutko na widok Aliny.

– *Danka! Idziemy do sadu?*

Dziewczyna podniosła się gwałtownie z drewnianego krzesła, z uśmiechem spoglądając na gościa. Lśniące blond włosy sterczały jej na wszystkie strony po biegu, była jednak wesoła i roześmiana.

– Oczywiście, Alina!

– Witaj, Danusiu! Wejdźże, nie krępuj się.

Staruszka przekroczyła próg, gestem witając się z sąsiadką.

– Jakież wieści, Alinko?

– Nie, kochana, życie się toczy swoim tempem. Chodźmy do sadu.

Kobiety spokojnym, chwiejnym krokiem podążyły tam.

Obydwie wybiegły z domu, pędząc do sadu. Zielone drzewa owocowały właśnie, wydając na świat dorodne, soczyste jabłka i gruszki. Danka wyprzedziła Alinę, ta jednak chwilę później dogoniła ją i obaliła. Niedługo potem obydwie leżały na zieloniutkiej trawie, w cieniu sadu, skręcając się ze śmiechu. Kiedy się uspokoiły, Alina oparła się o pień jednego z drzew, a Danka położyła na plecach, twarzą do chmur.

Idąc powoli, rozmawiały. Na przemian słońce i cień padały na ich pomarszczone twarze, kiedy pokonywały sad.

– Danusiu, dajesz radę w gospodarstwie? Wszystkiego ci pod dostatkiem?

– Tak, Alinko. Nie narzekam, Bóg jest łaskaw. Krowy dają mleko, kury dają jaja. Nie jest tak dobrze, jak kiedyś było, ale Bóg jest łaskaw dla starej kobiety.

Alina zaśmiała się krótko i ciepło. Śmiech jednak przerodził się w suchy kaszel. Kiedy już doszła do siebie, pociągnęła nosem i kontynuowała rozmowę.

– Dla mnie też. Chwała Mu! Sad obradza tak cudnie w to lato. Zobacz tylko na te jabłka, gruszki. Jest co zbierać, tylko ręce już zbyt słabe na niesienie kosza.

– Alina, widziałaś może tego kuzyna Hani, co przyjechał kilka dni temu do wioski?

Danka podniosła się gwałtownie, z łobuzerskim uśmiechem spoglądając na brunetkę. Ta zaśmiała się głośno i radośnie.

– Tak, Bartek się nazywa. Co z nim?

– Przyniósł mi bukietek fiołków.

Alina otworzyła usta w zdziwieniu.

– On przyniósł ci bukietek?! Nie znacie się nawet przecież!

Danuta roześmiała się.

– Dlatego ci to mówię! Nigdy jeszcze nie dostałam bukietka fiołków od nieznanego.

– I tak powinno zostać, Danka!

Kobiety spacerowały pod baldachimem liści i owoców, rozmawiając. W pewnej jednak chwili Alina zmarszczyła siwe brwi i, ku zaskoczeniu przyjaciółki, przyspieszyła kroku. Koniec sadu był już niedaleko, więc staruszka po chwili znalazła się na łące za nim. Danka dogoniła ją chwilę potem, ze zdezorientowaniem spoglądając na Alinę.

– Co się stało?

Kobieta nie odpowiadała, tylko wpatrywała się gdzieś daleko w skraj lasu. Wzrok Danuty również tam powędrował. Obydwie stały tak przez chwilę, z oczyma wlepionymi w... Strugi dymu unoszące się nad lasem. Alina już otworzyła usta, by coś powiedzieć, gdy nagle do ich uszu doszedł dźwięk. Dźwięk długi, przerażający, głośny i oznaczający tylko jedno. Dźwięk rogu wojennego. Danuta wyszeptwała do siebie tylko kilka słów, zanim zaczęły biec.

– Nie, to nie może dziać się znowu...

– A wiedziałaś, że Lilka zakochała się w Marku?

Danka podniosła brwi w zaskoczeniu.

– No coś ty! Nie wierzę ci.

– Przysięgam, że...

Alina nie dokończyła, bowiem sad wypełnił przeraźliwy, głośny dźwięk rogu wojennego.

Przez chwilę obydwie dziewczyny tylko patrzyły się po sobie w zdziwieniu i dezorientowaniu, chwilę później jednak usłyszały krzyk.

– Alina, Danuta, uciekajcie do domu!

Brat tej pierwszej wbiegł do sadu i wykrzyknął to w ich stronę. Na twarze dziewczyn wstąpiło czyste przerażenie. W przyпіływie adrenaliny dotarły do domu w ledwie kilka sekund. Właśnie w tej chwili brat wraz z rodzicami Aliny wchodzili do piwnicy chaty przez zakamuflowaną w podłodze klapę.

– Danuta, wchodź!

Dziewczyna poczuła, jak łyzy strachu spływają po jej rumianych policzkach.

– Nie, ja nie mogę! Do domu, do rodziców muszę wracać! Z nimi do piwnicy!

– Psiakrew, włącz! Jak wyjdiesz stąd, zginiesz! Nie słyszysz, jak blisko róg jest?

Nie tylko róg, słychać już było wyraźnie tętent kopyt. Danka w płaczu podjęła decyzję. Wskoczyła przez klapę, lądując na zimnej podłodze piwniczki. Brat zatrzasnął wejście. Zapanowała ciemność. Siedzieli w ciszy, mogąc tylko słychać, jak ludzie chodzą nad ich głowami, jak ogień syczy niedaleko. Groza wypełniła ich serca, sprawiając, że ledwo mogli oddychać. Każdy odgłos, każde słowo wypowiedziane przez żołnierzy u góry mogło oznaczać dla nich śmierć. W końcu jednak odgłosy te ucichły, jedynie słychać było ogień trawiący ściany chaty. Musieli wyjść, bowiem dym zaczął wypełniać piwnicę. Kaszłąc i osłaniając twarze, wyszli przez klapę.

Znów to samo. Tym razem jednak były same. Same, samiuteńkie. Nawet nie wiedziały, kto i dlaczego atakował ich. Jakie wojska, skąd ta armia? Nie okazała im jednak żadnej litości. Kiedy już wyszły na powierzchnię, słysząc jedynie ciszę i ogień, zastały straszliwe widoki. Obydwa domy zostały doszczętnie spalone i zniszczone, sad rozniesiony, zwierzęta zabite. Wybiegły

na łąkę, rozglądając się wkoło w panice. Nie zostało nic. Nic. Danka usiadła w trawie, pośród kwiatów, obok niej Alina. Laska złamała się, kiedy biegła, teraz leżała nędźnie gdzieś w sadzie. Chusta spadła, błękitne oczy wypełniła pustka. Nie odzywały się do siebie. Bo co miałyby powiedzieć? Że znów stało się to samo? Że znów poniosły szkody, dostały rykoszetem, może przez przypadek, tyle, że teraz nie ma już rąk, by odbudować straty? Że nie ma już dla nich nadziei?

Dla kogo?

Po co?

Lzy spłynęły po pomarszczonych policzkach. Błękitne oczy nie rozumiały.



Zuzanna Szłapa, 13 lat **Godło: „Fatamorgana”, Gdańsk** **wyróżnienie proza młodzież**

Budzę się wśród skąpanej promieniami wschodzącego słońca – jeszcze nisko wiszącego na nieboskłonie-szarej komnacie. Wyłożona jest ona nierówno ciosanym kamieniem, sprawiającym pozór wręcz lodowatego. Jedynym obiektem rozjaśniającym tę przestrzeń jest pstrokaty, uderzający ciepłymi barwami gobelin, akurat oświetlany przez promienie słoneczne. Płótno tej ozdoby jakoby emanuje blaskiem. Ale chwilą... Przecieram oczy i jeszcze raz mu się przyglądam. Uwieczniona jest bowiem na nim postać szkieletu z kosą, złowrogo i zarazem bez wyrazu wpatrującego się we mnie.

– Gdzie ja jestem? – pytam siebie na głos. Dotykam swojej twarzy i przyglądam się dłoniom, aby znaleźć, jakikolwiek dowód na to, że śnię. Nie zauważam jednak żadnych zmian w sposobie mojego odczuwania, czy wyglądzie moich dłoni. Postanawiam wstać, dokładniej przyjrzeć się temu kościotrupowi, bijącemu tak wielkim mistycyzmem, że aż nie sposób się wzbraniać.

Stąpając po szarym kamieniu składającym się na podłogę komnaty, zaznaję chłodu tak przenikającego, że aż namacalnie wspina się od samych

czubków palców moich stóp, kończąc na głowie dreszczem. Stojąc już bezpośrednio przed nim, jestem w stanie zauważyć mniejsze detale dzieła – krąg ludzi trzymających się za ręce, jakby zatrzymanych we wspólnym tańcu, otaczających z widocznym szacunkiem, acz z sympatią ową postać śmierci. Jakby mieli zamiar pokazać jej, że nie stanowi dla nich obiektu lęku, że jest czymś powszednim, jak właśnie wspólny taniec. W centrum owego koła, tuż nad głową szkieletu widnieją pewne słowa – *momento mori*. Moje ciało znów nachodzi silny dreszcz, bowiem nie mając języka, którym wyrażenie to zostało napisane, odbieram jego znaczenie. „Pamiętaj o śmierci” – mówią te słowa. Znaczenie ich objawia się w mojej głowie naturalnie, jakby aż do tego momentu wyczekiwało w mojej podświadomości. Moje oczy wznoszą się ku następnej sentencji, której znaczenie też przychodzi do mnie jak rzecz oczywista, jakby obudziło się we mnie wraz z moim przyjściem na świat.

– *Dance Macabre* – wtóruje mi głos za moimi plecami, od którego obecności dostaję gęsiej skórki. – Taniec śmierci moja kochana.

Odwracam się ku niemu dostrzegając staruszkę w habicie. Siostrę zakonną, o tak jasnych tęczęwkach, że wydaje się aż egzystować w innej przestrzeni. Lepszej przestrzeni, dającej jej odpowiedzi na wszystkie pytania, w rezultacie czego, kurczowo się jej trzyma, aby nie stracić owego stanu nieważkości, nie musząc lądować w twardym świecie niedomówień, frustracji i gniewu. W tej parodii napisanej przez głupca, dla niektórych utożsamianego z Bogiem, dla innych z samym szatanem. Staruszka słabym krokiem podchodzi do mnie od tyłu i łapie zimnymi, powykreczanymi artretyzmem palcami moją dłoń.

– Jeśli chcesz dowiedzieć się, jak to wszystko pojęłam, jak to ujęłaś, wiedzę absolutną, poznanie z samą śmiercią i pogodzenie się z nią, musisz iść ze mną – mówi, z gotowością w głosie.

– Tylko dokąd? Do świata gobelinu, aby porozmawiać z tym szkieletem?

– Nie głuptasie – wyczuwam w jej odpowiedzi wyraźne rozbawienie – do ogrodu, aby usiąść w cieniu jabłoni, ciesząc się tymi wydłużającymi się, coraz to cieplejszymi dniami pory rozkwitu. Wyjaśnimy sobie przy tym parę kwestii.

– No dobrze. Co innego mogę zrobić?

Napawam się słodko grzejącymi promieniami słonecznymi, jakbym została na nie wystawiona pierwszy raz wryciu. Jakbym pierwszy raz zrozumiała co to naprawdę jest, wychodząc z uludy, w której jakaś gorsza, fałszerska ognista kula wyłącznie odgrywa rolę Słońca.

– Każdy w owym miejscu tego doznaje. Nie jesteś jedyna złotko – wybija mnie z tego dziwnego letargu siostra o nieznanym mi jeszcze imieniu.

– Zastanawiasz się pewnie czemu nic cię obecnie nie zaskakuje. Czemu tak przewidywalne zdaje ci się obudzenie się w komnacie średnio-wiecznego zakonu, absolutne zrozumienie łaciny, rozmowa z nieznaną ci zakonnicą, której imienia nawet nie znasz.

– Nie wiem po prostu co mam powiedzieć. A co do tej łaciny, to nie jestem pewna czy cokolwiek z niej wiem. Do znaczenia tych słów z gobelinu doszłam jakoś intuicyjnie.

– Vanitas vanitatum et orania vanitas – przerywa mi nagle.

– Marność nad marnościami, wszystko jest marnością – odpowiadam bez ani chwili zastanowienia.

– Ab alio expectes, alteri quod feceris.

– Co zrobisz drugiemu, oczekuj od niego.

– No i sama widzisz. Czy masz jeszcze jakieś wątpliwości?

Jedyne co mogę zrobić, to przecząco pokiwać głową. Czuję na sobie przenikliwy wzrok zakonnicy.

– Twoja skóra pewnie szybko łapie słońce, zgadza się? Zostaje naznaczana gromadami rudych piegów, które szybko bledną, czekając na pojawienie się nowych. Nie stale, jakby chcąc jak najprędzej uciec z jej powierzchni, aby powrócić do miejsca skąd przybyły...

– Jak siostra ma na imię? – decyduję się także na przerwanie jej w połowie zdania.

– Tutaj każdy z nas jest pozbawiony imienia.

– Tutaj?

– Tak. A myślałaś, że gdzie się znajdujesz? W umiejscowionym w twoim wymiarze, średniowiecznym klasztorze? – parska głośno śmiechem.

– Dobrze by było gdybym się dowiedziała. Bo po jakie лихо mam to wiedzieć?

– Wyrażaj się dziecko – upomina z małym wyrzutem w głosie. – Będiesz traktować to jako niezwykle realistyczny sen, jednak pamiętaj, mówię to każdemu przypałaetanemu idiotcie jak ty – że to sen nie jest. Każdy człowiek Planety Ziemi został obdarzony przepustką poznania prawdziwej istoty śmierci, po to, aby przez resztę życia być spokojnym, trwać ze świadomością, że nie ma się o co martwić, że czeka tam na niego miejsce, i że przede wszystkim – umieranie jest wszechobecne. Upiór z kosa śmierci znajduje się na każdym kroku. *Dance Macabre* i *Momentu Mori* – o tym właśnie te słowa nam przypominają: pamiętaj o niej, i w zgodzie tańcz, wyciskając każdą najśladszą chwilę ze swego marnego życia. A teraz właśnie ty, masz zaszczyt gościć w skromnych progach wiecznego, pośmiertnego bytu i „zagrzeć w nim miejsce”, jak to niektórzy ludzie twojego pokolenia haniebnie nazy-

wają. Jak sama również możesz zauważyć – trafiając tu po zakończeniu swej ziemskiej egzystencji, uzyskujesz pełnię wiedzy, poczucie spełnienia i radość wiążącą się z brakiem zakładania, a jedynie z czystą pewnością. Poczucie to jest czymś jeszcze większym, niż najszczęsza wiara. Wszystko tu jest soczystsze, pełniejsze, cudowniejsze, bardziej wyraziste... Mogłabym podawać jeszcze pełno synonimów. Ukazuje się nam po prostu w swych najprawdziwszych, najintensywniejszych barwach, bez ani odrobiny cienia, teorii czy niedomówień, bowiem wszystko tu stanowi pewnik. Można powiedzieć, że wszelkie filozofowanie kończy się tu raz na zawsze, a pozostał nam jedynie zachwyty, którego zasmakować zupełnie nie mogliśmy za czasów zmartwień, ciągłego biegu. I jak mówiłam na początku – imiona także tu nie mają racji bytu. Każda z trafiających tu dusz zostaje natychmiastowo owego mienia pozbawiona, zredukowanego do zupełnego zapomnienia. Albowiem tutaj, każdy tworzy namacalną esencję swych cech, krzyczącą wręcz za niego, a imię nawet jeśliby zostało, pożarłby je ów wszechobecny głos. Każdy również zabiera ze sobą coś do czego emocjonalnie był przywiązany, coś czego nasza dusza najbardziej potrzebuje, często nawet nie będąc za życia świadomym znaczenia takowego przedmiotu. Pozwała on nam zachować pamięć dotyczącą naszych niegdyś ziemskich uczuć i zmartwień, które tutaj zyskują na bladeści i braku jakiegokolwiek uwagi.

– Czy chciałybyś mi pokazać rzecz, która przywędrowała tu wraz z Tobą?

Zakonnica z uśmiechem na ustach powoli kiwa głową i spod fałd habitu wyciąga gruby, oprawiony w brązową skórę dziennik.

– Czy to był twój pamiętnik?

– Nie. To coś stanowiącego dla mnie o wiele więcej niż zwykłą mapę myśli. To zbiór mej największej życiowej konsternacji, nadziei, chwiejnej wiary, egzaltacji...

– A mianowicie?

– Zielnik.

Powierza go moim ciekawskim dłoniom, patrząc z pewną ostrożnością w moje oczy.

– A, no tak – zapomniałabym. Za samą okładką znajduje się nota, którą napisałam będąc jeszcze młodziutką dziewczuszką nie wiedzącą co zupełnie wyrabia w klasztorze – zaśmiała się z nostalgią. – Byłam zagubiona, nie wiedziałam czego od życia oczekiwać, czego oczekiwać od własnej osoby. Aż po noc, w której odwiedziłam to samo co ty aktualnie miejsce. Potraktowałam to jako sensne objawienie, zapewnienie, że przynajmniej coś mnie czeka, że kiedyś uzyskam odpowiedzi. Pewnego rodzaju bezpieczeństwo. Ale wracając do tematu zielnika, podaj mi proszę tę kartkę i pozwól przeczytać ci na głos.

Wyjmuję mały, płaski kwadracik zżółkniętego po tak wieloletniej podróży papieru, spomiędzy pierwszej strony a wewnętrznej części okładki i wręczam do otwartej ręki siostry zakonnej.

– Ohh, wiosna – zaczyna czytać. – Znajduje się obecnie w spisana na własną przegraną ucieczce. W desperackiej pogoni przez lato. Pozostało jej zaledwie parę dni wolności, bowiem niebawem zostanie w zupełności pochłonięta przez soczystą zieleń następującej po niej pory roku. Intensywne kolory w koronach drzew zostają zredukowane przez żwawo rodzące się liście. Słodki zapach pyłków kwiatów zaś, także powoli się ulatnia, zastępowany tym soczyście rosnących traw. Z wielkim utęsknieniem czekam na słoneczniki-miniaturowe, uśmiechające się słoneczka, sprawiające pozór pragnących jak największego kontaktu z ich ognistym rodzicielem, przez zwracanie swych główek ku niemu. Teraz jednak, staram się nacieszyć tymi dzielnie bojującymi rozkwitniętymi kwiatami. Topiącymi się niezauważalnie, acz wyjątkowo szybko wśród bujnych liści – ich własnych potomków, którym one łaskawe były podarować życie. I co dostają w podzięce? Skonsumowanie ich przez niewdzięczne, zielone z zazdrości o ich urok dzieci, kończąc jako poległe rodzicielki... Ich potomkom, wszakże również pisane jest wyschnięcie, a po nim nieodwracalne skruszenie... Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz- jednak co mam począć ja jako wieczny świadek? Co zrobić, aby nie zwariować od tej wszechobecnej śmierci i ponownego odradzania? Ile można złudnie czekać na słodkie szczęście i brak przepelnionego cierpieniem płaczu świata? Inaczej równowagę absolutną, do niczego nie prowadzącą. Składającą się wyłącznie z „teraz”, nie ograniczoną czasem idylle, w której porażki, jak zarówno sukcesy nie mają racji bytu, bowiem wszystko jest tam wszystkim, a zarazem niczym – jedynie panująca pustka, niczym w próżni. Nie występują w niej straty ani zyski, szczęście i nieszczęście, euforia oraz rozpacz. Liczy się w niej tylko trwanie i wzajemna, wielka koegzystencja.

Wiem, że się nie doczekam, że to nie jest przestrzeń, w której obecnie goszczę. W niej przepustką do spełnienia jest poddanie. Poddanie się stale przychodzącym zmianom, nieubłagane szarpiącym mą duszę. Czysty stoicyzm, bierna postawa wobec najstraszniejszych z koszmarów. Znalezienie w tym przepelniającym nasze ciała bólu egzystencjalnym rozkosz. Pławić się w zgubie i na nic nie wyczekiwać. Skupić się na tym co tu i teraz i pozwolić się prowadzić. Może to nas dokądś zaprowadzi.

– I właśnie z tych powodów prowadziłaś zielnik?- pytam z wielkim niedowierzaniem na twarzy, z małą dezorientacją.

– Chyba tak. Ususzone rośliny przypominały mi o tym, że przemijanie jest nieuniknione, a ja mogę jedynie zbierać po tych kruchych cudach życia ślady,

i radować się z tego co mam. Zachwycając się pięknie soczystymi, letnimi liśćmi, i patrząc zarazem na ususzony zbrązowiały liść, który podniosłam z ziemi jesienią, przypomina mi się, że wszystko czeka pewien koniec. Za to, tracąc nadzieję szarą zimą na lepsze jutro, otwierałam zielnik na stronach przeznaczonych wiosennym kwiatom, aby mieć w świadomości fakt, iż niedługo, te obdarte z wszelkiego nakrycia i wysrane z kolorów drzewa, będą na nowo pokryte słodkimi pączkami, zwiastującymi wielki rozkwit. Trzymał mój umysł stale w zdystansowanym stosunku, i Zaznaczał, że wszystko kiedyś przychodzi i odchodzi, kwitnie i obumiera, niczym właśnie te liście na drzewach i polne kwiaty...

– Momento mori... – są to jedyne słowa, które w tym momencie przychodzi mi na język. – Można tak powiedzieć. Pamiętaj o śmierci. Wizja ta, silnie ujęła moją duszę. Może jeśli cokolwiek z tej bizarnej wizyty zapamiętam, sama zacznę taki dziennik prowadzić? Przecież tyle razy markotniałam na widok zwiędłych kwiatów, które dopiero co zostały przeze mnie włożone do wazonu z wodą. W ten sposób, będę mogła sprawić je wiecznymi, pomimo straconych soków, pierwotnej barwy, struktury i wielkości. Będą mogły żyć ciasno pomiędzy stronicami przyozdobionymi innymi roślinami, przynoszące mi z osobna inną myśl, nastrój czy wspomnienie.

– Widzę, że ta perspektywa ci się spodobała. Jak chcesz, możesz zobaczyć jego zawartość- ponownie powierza go moim dłoniom, pozwalając mi zetknąć się z trapiącymi ją za życia zmartwieniami, oraz emocjami. Otwieram go na pierwszej stronie i dostrzegam zbrązowiały kwiatek, którego nazwy nie umiem określić.

– To żółty narcyz – zwalcza moją wątpliwość jakoby rzeczywiście wiedziała wszystko o otaczających ją zagadkach. Nawet o moim własnym umyśle. Czuję się przy niej mała, mogłabym nawet powiedzieć, że tępa...

Przewracam kolejną stronę i widzę również wysrane z koloru liście – pewnie wklejony tu w czasie jesieni. A przed nim bordowe płatki, prawdopodobnie maku. Zauważam, że wszystko jest tu ułożone chronologicznie, od najbardziej wyniszczonego płatka kwiatu, aż po ten zdający się być najmłodszy. Każdy z nich, jak również mogę zauważyć, zostawał wklejany adekwatnie do panującej pory roku – wiosna, lato, jesień zima, wiosna, lato, jesień, zima... Ani razu kolejność ta dla samego urozmaicenia, nieuwagi, czy czystego odwrócenia się od nudnych schematów nie została zaburzona. Pierwszemu roku żywota zielnika towarzyszył narcyz, mak, według siostry niegdyś czerwony liść klonu i wręcz przezroczyście płatki przebiśniegu. Tulipany, słoneczniki, liść dębu i fioletowy krokus... Na sam widok grubości owego zbioru czuję coś w rodzaju znużenia, czystej monotonii – no bo ile

można? Z roku na rok przybiera to na większej przewidywalności, braku jakiegokolwiek zachodzącej zmiany.

– Też nachodziły mnie wówczas takie myśli. Nawet jeśli relatywnie wpływał na moje pozytywne pojmowanie świata i jego sensu, to jednak pobudzał także tę negatywną część mojego rozumowania. Na siłę zyskiwała bowiem perspektywa, że świat również nie ma ode mnie większych oczekiwań. Że ja także należę do tego w zupełności harmonijnego kręgu życia, że ani minimalnie od niego nie odstaję. Że wraz z ludźmi, z ludźmi ludzącymi się w ten sam sposób jak niegdyś ja, tworzymy z nim jedność. Nic więcej. Jesteśmy nieprzerwanie oddychającą masą, ze spojrzenia siły wyższej, nic nie znaczącą...

– Och, teraz czuję się przybita.

– Nie masz być ani odrobinę! – mówi z przejęciem. – Chyba po to tu jesteś, hm? Aby coś w rodzaju pewności, braku lęku wyciągnąć. Wyciągnąć pewną motywację i podać rękę kosiarzowi. Zatańczyć z nim. Pamiętaj- nie oglądaj się za siebie tylko skup na tym co tu. Na tym czego twoje wnętrze najgoręcej pragnie. Realizuj to. Bo po coś bowiem życie jest nam dane.

– Chcesz mi powiedzieć w takim razie po co? Pani wszechwiedząca, władczyni wszystkich pór roku? – pytam z małą kpinią w głosie, z nieznanego dla mnie powodu.

– Na to akurat, każdy po śmierci musi odpowiedzieć sobie sam. Ja, jak na razie, naprowadzić cię na nią nie mogę. Na wszystko przychodzi czas, nawet nie stąpając już po powierzchni Ziemi – bacznie mi się przygląda, nurkując tą ezoteryczną jasnością w moich oczach. – Nadszedł już czas na pożegnanie. Za chwilę limit twojego czasu się wyczerpie. Ostatnie co chciałabym, abyś zrobiła, to skosztowała jednego z jabłek, które rozpościerają się nad naszymi głowami.

Wyciąga rękę po jedno z tych najbardziej dojrzałych, o niesamowicie natężonym kolorze, zrywa, i podaje mi. Przyglądam się jej jeszcze przez moment, po czym wgryzam się w owoc. Jego smak jest bardziej boski niż pełnia wszystkich ziemskich smaków. Jak esencja błogostanu i słodkości. Doprowadza kubki smakowe do przepysznego orgazmu... I zniemacka zjawia się ciemność. Nagle cała ta kwintesencja ideału zostaje jakby wyssana, zostawiając na moim języku zwykły smak jabłka. Otwieram oczy i nie mogę uwierzyć. Zamykam je, po czym ponownie otwieram. Przed nimi bowiem widnieje szarość. Nie jestem w stanie nawet powrócić w głowie do kolorów, jakie miały miejsce jeszcze przed chwilą. Wiem, że to nie to. Że to jakaś dziwna parodia, brzydki sen pozbawiony rzeczywistych barw. Znajduję się w moim domowym ogródku, w rękę trzymam nie godny nazwania

jabłkiem, wyblakły owoc, a nade mną rozgałęzia się korona jednej z jabłoni, przecinającej wizualnie blade niebo. W oddali słyszę równie pozbawiony wyrazistości głos, jakby nawołujący mnie spod powierzchni wody.

– Dziecko, co ty najlepszego wyrabiasz o tej porze?!



Eliza Jeżak, 13 lat ***Godło: „Lil-Ly”, Bielawa*** **wyróżnienie proza młodzież**

Cierpienie i magia

Było to dość późne, niedzielne popołudnie. Sople lodu zwisające z okiennic, odbijały delikatne promienie słońca, próbujące dostać się do pokoju. Światło roztopiało sople lodu, przemieniając je w wodę. Zbliżał się koniec zimy, dlatego ciepło powoli poskramiało chłód. Uwielbiałam delectować się takimi z pozoru niewielkimi zjawiskami fizycznymi.

Tego dnia musiałam przygotować dokumentację do redakcji, w której zostałam niedawno zatrudniona. O pracy dziennikarki marzyłam od dziecka, dlatego byłam bardzo podekscytowana, by otrzymać pierwsze zlecenie.

– Zaparzyłam ci kawę – rzekła Ava, wchodząc bezgłośnie do pokoju.

– Dziękuję, właśnie tego było mi trzeba – uśmiechnęłam się, biorąc łyk gorącego napoju.

– Jutro idę do Matt’a na przyjęcie urodzinowe. Miałabyś ochotę udać się tam ze mną? – przerwała chwilową ciszę.

– Nie jestem zaproszona. Wiesz, że nie darzymy się sympatią. Poza tym jutro pracuję – odparłam.

Z pomocą współlokatorki w mgnieniu oka skończyłam porządkować korpus tekstów, dzięki czemu mogłyśmy wspólnie spędzić wieczór, oglądając nasze ulubione filmy.

Poniedziałkowy poranek rozpoczął bezlitosny budzik. Za oknem widać było już trochę zieleni, a promienie słońca wkradały się do pokoju, by tańcować na meblach. Zirytowana i zmęczona udałam się do kuchni, gdzie

nie zastałam przyjaciółki, co mnie zdziwiło. Uznałam, że wybrała się do sklepu i przystąpiłam do porannej rutyny. W pracy pojawiłam się chwilę przed czasem.

– Pani Harper, nastąpiła mała zmiana planów. Connor zajmie się sprawą w liceum Stevensona. Proszę mnie zrozumieć, to jedna z najlepszych szkół w Chicago, a pani jest nowicjuszem. Jeden nieodpowiedni krok i możemy mieć problemy. Nie mogę ryzykować. Przydałby się materiał, który zagłuszy ostatni skandal. Proszę wybrać się do pobliskiego szpitala psychiatrycznego lub hospicjum, jestem pewien, że Pani coś wymyśli – oznajmił przełożony zauważwszy mnie.

– Dobrze, ale na przyszłość proszę mnie wcześniej informować, bo przygotowałam dokumentację do sprawy w szkole – zirytowałam się.

– Proszę przekazać ją Connor’owi – powiedział.

Zdenerwowana i zawiedziona udałam się do znajomego mi dziecięcego zakładu psychiatrycznego. Gdy byłam młodsza, odwiedzałam tam Nick’a – mojego starszego brata. Pielęgniarki dobrze mnie znały, dlatego uznałam, że tam skomponuję odpowiedni i zadowalający materiał w miłej atmosferze. Wchodząc do budynku, zauważyłam znajomą mi twarz.

– Jim? – zawołałam mile zaskoczona.

– Ellie, pani Jane, Harper przyszła! – krzyczał wesoły.

– Jejku! Ostatnio cię widziałam rok temu, jak byłeś tu na wolontariacie! Już jesteś dziennikarką? – dopytywała Ellie.

Spotkanie to przyniosło mi wiele radości i odblokowało we mnie stare wspomnienia. Podczas studiów pracowałam tu jako wolontariusz z Jim’em, Ellie była początkującą pielęgniarką, a pani Jane już doświadczoną. To właśnie ona opiekowała się moim bratem. Odpowiedziawszy na wszystkie pytania, dowiedziałam się, że Jim został już oficjalnie zatrudniony i także był pielęgniarzem.

– Zaprowadzę cię do dziewczyny, z którą możesz porozmawiać. Mary trafiła tu już piąty raz z powodu anoreksji, z każdą wizytą przyjeżdża w coraz gorszym stanie psychicznym, zarówno jak i fizycznym. Myślę, że chętnie udzieli ci odpowiedzi na wszystkie nurtujące cię pytania – uśmiechnął się Jim.

Idąc korytarzem, kątem oka przyglądałam się przyjacielowi. Niegdyś, gdy tu pracowałam, był on moim obiektem westchnień, lecz nigdy nie wyznałam mu prawdy o swoich uczuciach. Korytarz wydawał się być bez końca. Jedynymi pogromcami panującej między nami niezręcznej ciszy, były nasze kroki i pokaszliwania. Gdy brunet w końcu się zatrzymał, wskazał na uchylone drzwi, znajdujące się po prawej stronie. Podziękowawszy mu,

zanurkowałam w pomieszczeniu, lekko skrzypiąc starymi drzwiami. Mój wzrok przykuło łoże, na którym leżała wychudzona dziewczyna podłączona do kroplówki. Zdażyłam zauważyć, że trzymała w dłoniach chustkę, do której coś wypluwała. Usłyszawszy skrzypienie, spojrzała w moją stronę i wyrzuciła kawałek materiału.

– Cześć Mary, jestem Harper – przywitałam się.

– Dzień dobry, pracujesz tu jako nowa pielęgniarka? Nie widziałam cię wcześniej – powiedziała słabym głosem.

– Nie, przybyłam, by porozmawiać. Jestem dziennikarką, chciałabys udzielić mi krótkiego wywiadu? – zapytałam.

– Mam szesnaście lat i jest to moja piąta wizyta w szpitalu, trzecia w tym roku. Leczę się na anoreksję od trzech lat. Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć – zmieszła się.

– Jeśli mogę zapytać, co było czynnikiem twojej choroby?

– Przez długi czas mieszkałam z ciotką, która była bardzo wymagająca i surowa. Wybierała mi ubiór i nigdy nie pozwalała na spotkania ze znajomymi. Wpadała w furję, gdy robiłam coś nie po jej myśli. Pragnęła kontrolować każdy mój ruch. Brakowało mi władzy nad własnym życiem, głodzenie się dawało mi możliwość pocucia jej. Ciotka obniżała moją samoocenę, krytykując mnie, co tylko dodawało oliwy do ognia – mówiła nie pokazując żadnych emocji.

– Rozumiem, że już uwolniłaś się od ciotki, ale czy ty pragniesz prowadzić zdrowy tryb życia? – dopytywałam.

– Ujmę to tak: z jednej strony chciałabym być zdrowa, lecz z drugiej nie mogę – rzekła.

Nagle do pomieszczenia weszła Ellie, kończąc naszą rozmowę i informując, że nadszedł czas na obiad dla Mary. Pożegnawszy się z dziewczyną, udałam się do Pani Jane. Czułam potrzebę, by pomóc nowopoznanej chorej i po przemyśleniu sprawy postanowiłam wrócić do pracy, jako wolontariusz w szpitalu. Po udanej rozmowie z pielęgniarką i ordynatorem udałam się do mieszkania.

– Ava, jesteś tu? – szukałam współlokatorki.

– Tak, chodź do kuchni – odpowiedziała.

Gdy znalazłam się w pomieszczeniu, gdzie czekała na mnie przyjaciółka, ujrzałam stół zapelniony moimi ulubionymi potrawami.

– To na cześć rozpoczęcia twojej pracy marzeń – powiedziała z uśmiechem, obejmując mnie.

– Jejku dziękuję, ale muszę ci coś powiedzieć – usiadłam przy stole. – Opuszczam tę pracę, chciałabym wrócić do szpitala psychiatrycznego, jako

wolontariusz. Ta redakcja i tak mi się nie spodobała. Kazali mi stworzyć materiał, który miał wzruszyć ludzi, żeby zapomnieli o poprzednim skandalu. Na oddziale spotkałam pewną dziewczynę. Czuję, że muszę jej pomóc.

Gdy weszłam na teren placówki, wszystkie dobre i złe wspomnienia wróciły. Moje uczucia do Jim'a, ataki paniki Nick'a. Pamiętasz jak wspólnie spotykaliśmy się z Ellie? Chciałabym do tego wrócić. Jeśli chodzi o pieniądze, to póki nie znajdę płatnej pracy, możemy korzystać z mojego spadku po rodzicach – opowiedziałam wszystko na jednym oddechu.

Bałam się, że Ava mnie nie poprze, że mnie skrytykuje. Na szczęście nie zawiodłam się. Byłam wdzięczna światu, że ją mam. Zawsze mnie wspierała. Jej osoba ratowała mnie przed samotnością.

Następnego dnia rano udałam się do szpitala. Na miejscu dostrzegłam Mary w objęciach z nieznanym mi chłopakiem. Po jego ubiorze wywnioskowałam, że był jednym z pacjentów.

– Cześć jestem nową wolontariuszką. Miałam już okazję poznać Mary – wyciągnęłam dłoń w stronę chłopca. – Jestem Harper – przedstawiłam się.

– Miło mi poznać, nazywam się Luke – odparł niepewnym głosem.

– Przyszedłam wyciągnąć Mary na spacer, jeśli masz ochotę, możesz wybrać się z nami. – Załatwię ci przepustkę – uśmiechnęłam się.

Dzięki prośbom Mary chłopak zdecydował się pójść. Podczas przechadzki zauważyłam niezwykle więź między nastolatkami. Była to czysta chemia, łatwa do wycucia. Ich spojrzenia mówiły wszystko.

– Harper, opowiesz coś Luke'owi o dziennikarstwie? – wyrwała mnie z rozmyślań Mary. – Kiedyś marzył o pracy w redakcji – dodała z uśmiechem.

– Pewnie, choć już tam nie pracuję – zgodziłam się.

Po niedługiej rozmowie, powoli zaczęliśmy wracać do zakładu. Odprowadziłam młodych do swoich pokoi i postanowiłam dowiedzieć się od przyjaciela czegoś więcej o chłopaku, który był tak blisko z Mary. Zauważwszy go na korytarzu, zawołałam:

– Jim! Zaczekaj!

– Tak? – spojrzał na mnie.

– Mam prośbę. Czy mógłbyś powiedzieć mi coś o Luke'u? Mam na myśli tego czarnowłosego chłopaka, o azjatyckiej urodzie – poprosiłam, uciekając wzrokiem od jego głębokich jak ocean, ciemnych oczu.

– Nie powinienem dzielić się takimi informacjami, ale dla ciebie zrobię wyjątek – uśmiechnął się, wywołując rumieniec na mojej twarzy – Za miesiąc będzie pełnoletni. Jest z domu dziecka, ale praktycznie mieszka tutaj. Od małego choruje na schizofrenię i od czterech lat na depresję. Często miewa ataki paniki, spowodowane traumami z dzieciństwa. Jest najtrudniejszym

przypadkiem na oddziale, ale odkąd w szpitalu pojawiła się Mary, zaczął naprawdę chcieć i starać się wyzdrowieć. To nasze szpitalne papużki nierozłączki – opowiedział brunet.

– Bardzo ci dziękuję – odparłam powoli odchodząc.

Słowa Jim'a tylko utwierdziły mnie w przekonaniu, że tych dwóch łączy potężne uczucie. Zdawało mi się, że chyba już wiem, co miała na myśli dziewczyna mówiąc: "Z jednej strony chciałabym być zdrowa, lecz z drugiej nie mogę". Postanowiłam porozmawiać z nią jeszcze raz, ale nie mogłam jej nigdzie znaleźć. Zaczęłam się martwić, ponieważ nie było jej nawet w pokoju Luke'a. Udałam się do toalety z nadzieją, że tam ją zastanę.

– Mary, jesteś tu? – zapytałam.

Nie otrzymałam odpowiedzi, lecz byłam pewna, że znajdowała się w jednej z kabin, z której dało się usłyszeć cichy szloch. Chwila ta przypominała mi sytuację z przeszłości, kiedy Nick zamknął się w kabynie podczas ataku paniki. Przyprowadziłam wtedy panią Jane, która zwołała lekarzy. Po piętnastu minutach negocjacji wyszedł z toalety, trzymając w ręku żyłkę. Dzięki szybkiej interwencji personelu szpitala, na szczęście nic sobie nie zrobił. To wydarzenie zostawiło dużą ranę na mojej psychice. Moi rodzice nie chcieli jej rozdrapywać, dlatego ograniczyli moje spotkania z bratem i zapisali mnie do psychologa. Po ranie została tylko blizna. Nie mogłam pozwolić, by Mary zrobiła sobie krzywdę. Musiałam działać.

– Nie rób nic głupiego, porozmawiajmy, proszę cię – mówiłam, starając się nie złamać.

W odpowiedzi usłyszałam tylko głośniejszy szloch. Nagle do pomieszczenia wszedł Jim. Powiedziałam mu, co się dzieje. Mary wciąż nic nie mówiła, tylko szlochała ciężko oddychając. Brunet otworzył drzwi kluczem awaryjnym dla personelu. Zaniósł ją do pokoju, a mi kazał zostać w toalecie. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Stałam jak wryta i wpatrywałam się w ścianę. Wtedy nawet nie miałam pojęcia, co myślę, ani co robię. Czułam się tak jakbym opuściła na chwilę ten świat, wydawał się nierealny. Z transu wyrwał mnie odgłos otwieranych drzwi.

– Wszystko w porządku? – zmartwił się Jim.

– Co z Mary? – spytałam, ignorując jego troskę.

– Doszło do samookaleczenia, na szczęście delikatnego i niegroźnego fizycznie – oznajmił.

– Wiadomo, dlaczego to zrobiła?

– Nie chce tego wyznać – powiedział – Zauważyłem, że złapałaś z nią dobry kontakt. Dajmy jej chwilę, jest teraz pilnowana. Zadzwoń do ciebie

jak będzie gotowa do rozmowy, jedź teraz do domu i odpocznij – dodał, obejmując mnie.

Za radą chłopaka opuściłam budynek i wsiadłam do samochodu. Zdecydowałam się jednak pojechać do parku na spacer, by oczyścić umysł. Dotarwszy na miejsce, podziwiałam piękno natury, wdychając deszczowy zapach. Niegdyś chodziłam tu na spacer z rodzicami i bratem. Byłam wtedy przeszczęśliwa. Niestety, wszystko co dobre ma swój koniec. Zagubiona w krainie myśli, nie dojrzałam nadjeżdżającego rowerzysty w moją stronę. Zauważywszy go, usłyszałam krzyk.

– Harper, uważaj! – do mych uszu dotarł znajomy męski głos.

Nie zdążywszy zareagować i zorientować się, kto to był, zostałam pochnięta na drugą stronę chodnika. Razem opadliśmy na zimny i mokry asfalt. Spojrzałam na chłopaka i ku mojemu zdziwieniu był to Jim. Nasze wzroki spotkały się i zaczęły wspólnie toczyć. Staralam się nie potknąć i nie wpaść w głęboki, ciemnoniebieski ocean, widniejący w jego oczach. Czulałam, że brunet także próbuje utrzymać równowagę, co mu doskonale wychodziło. Obijające się o chodnik krople deszczu, były niczym miłosa piosenka. Niezręczna cisza zagłuszała tę piękną, niesłyszalną melodię, którą wytwarzały fruwające w powietrzu uczucia.

– Dziękuję – powiedziałam, kończąc ciszę i odwracając wzrok. – Co ty tu w ogóle robisz? – zapytałam.

– Zapomniałaś o kluczach, więc przyjechałem za tobą – uśmiechnął się, podając mi zgubę.

– Ojej! Rzeczywiście! – zaśmiałam się.

Po kilku wymienionych spojrzeniach, chłopak pomógł mi wstać.

– Wszystko w porządku? – upewniał się.

– Poza tym, że jestem cała mokra to tak, jeszcze raz dziękuję – odparłam.

– Może pójdziemy coś zjeść? Pamiętasz tą chińską restaurację, do której kiedyś chodziliśmy we czwórkę? Potem możemy pojechać do szpitala, zobaczyć, co z Mary – zaproponował.

– Bardzo chętnie – zgodziłam się z uśmiechem na twarzy.

Czas spędzony z Jim'em był naprawdę magiczny. Pozwolił mi zapomnieć o wszystkich problemach. Gdy skończyliśmy posiłek, brunet zadzwonił do Pani Jane, by dowiedzieć się czegoś w sprawie Mary. Pielęgniarka oznajmiła, że dziewczyna czuje się lepiej, ale nie chce rozmawiać z nikim innym niż mną. Udaliśmy się do samochodu Jim'a. Ustaliliśmy, że potem zostanie odwieziona tu z powrotem, by odebrać pojazd.

– Zdobyłaś jej zaufanie. Otwiera się tylko przed tobą – powiedział – Słyszałem, że opuściła redakcję. Nie chciałabyś może spróbować swoich sił,

jako pielęgniarka na naszym oddziale? Widziałem, że wywołałaś uśmiech na twarzy Luke'a. Wcześniej tylko Mary potrafiła tego dokonać. Ona także jest przy tobie pełna energii. Jesteś jeszcze młoda, możesz ukończyć kolejne studia – uśmiechnął się, kładąc swą dłoń na mojej.

Gest ten, wywołał na mojej twarzy rumieniec, dlatego prędko odwróciłam twarz do szyby i odparłam:

– Masz rację. Pomyślę nad tym. Pomaganie im, to dla mnie przyjemność

Gdy dotarliśmy na miejsce, pobiegłam do pokoju, w którym znajdowała się dziewczyna. Powoli zbliżyłam się do jej łóżka i spojrzałam na nią. Przywitała mnie słabym uśmiechem. Jej nadgarstki były zabandażowane. Dostrzegłam strach w jej oczach.

– Ja nie chciałam tego zrobić, ale boję się o Luke'a. Jego dłonie, ramiona są całe w bliznach. Kiedy tu trafiłam pierwszy raz wszystko mi pokazał, pomógł mi. On był powodem, dlaczego tu wracałam. Nie chciałam go tu zostawić, dlatego nie próbowałam zdrowieć. Dziś rano powiedział mi, że niedługo będzie przenoszony do szpitala psychiatrycznego dla dorosłych i chciałby, żebym odwiedziła go tam, ale już w pełni zdrowia. Obiecałam mu, że tak się stanie. Boję się jednak rozstania. Boję się, że sobie tam nie poradzi sam – mówiła, płacząc.

– Kochanie jestem pewna, że spotkacie się oboje zdrowi. Luke chorował jeszcze zanim pojawiłaś się w jego życiu. Los wystawia waszą miłość na próbę. Obydwoje wiele przeżyliście, dlatego jesteście tak silnie zżyci ze sobą – powiedziałam. – Luke przypomina mi mojego brata. Jego życie wyglądało bardzo podobnie, lecz on nie poznał nikogo, kto mógłby go wesprzeć. W szpitalu był sam. Bardzo tęsknił za mną i rodzicami mimo naszych odwiedzin. Nie potrafił z nikim nawiązać kontaktu, co go dobijało. Nick był aniołem zbyt wrażliwym na ten świat. Życie na Ziemi za bardzo go bolało i męczyło, więc postanowił wrócić do Nieba. Luke na szczęście ma ciebie, a ty jego – dodałam ze łzami w oczach, obejmując nastolatkę.

– Macie także nas. Razem z ciocią Harper obiecujemy odwiedzać Luke'a. Przy tobie będziemy codziennie, więc także nie będziesz sama – wtrącił się Jim, wchodząc do pokoju – A teraz chciałbym zrobić coś, co miało wydarzyć się już lata temu.

Nagle do pokoju wszedł Luke, wręczając Mary bukiet kwiatów i małe pudełeczko Jim'owi.

– Harper Sheldon, jesteś dla mnie niezwykle ważną osobą. Po raz pierwszy spotkaliśmy się tu w szpitalu, gdy mieliśmy po dwadzieścia lat. Już wtedy wiedziałem, że jesteś tą jedyną. Przyjaźniliśmy się przez dwa lata. Potem

straciliśmy ze sobą kontakt. I teraz, gdy wróciłaś tu, po tym pustym roku, wszystkie moje uczucia do ciebie wróciły – powiedział, po czym uklęknął

– Tym razem nie popełnię tego błędu i nie pozwolę ci odejść. Czy pragniesz spędzić ze mną resztę swojego życia? – otworzył pudełeczko, ukazując złoty pierścionek.

– Tak! Tak, wyjdę za ciebie. Ja także żywiłam do ciebie uczucia od naszego pierwszego spotkania. Jestem przeszczęśliwa, że osoba, którą pokochałam w tym szpitalu, właśnie teraz w nim, oświadcza, że odwzajemnia me uczucia.

Wszyscy przytuliliśmy się do siebie i długo pozostaliśmy w objęciach. Ten wieczór był początkiem lepszego życia dla nas wszystkich. Mary i Luke są przykładem, że miłość jest jednocześnie cierpieniem i magią.

SPIS TREŚCI

Protokół Komisji Konkursowej	5
------------------------------------	---

POEZJA DOROŚLI

Rafał Baron	8
Zdzisław Drzewiecki	11
Katarzyna Kadyjewska	13
Mariola Kruszewska	16
Małgorzata Borzeszkowska	19
Małgorzata Wasilewska	21
Leszek Wójcik	22
Irena Wanda Niedzielko	24
Paulina Świątek	26
Mirosław Kowalski,	26
Daniel Głowacki	28
Marzena Jaworska	29
Małgorzata Kotłowska	30
Matylda Trojanowska	31
Krzysztof Przegiętka	32
Zbigniew Pikuła	32
Andrzej Halicki	33
Karol Darmoros	34
Aneta Jasłowska	35
Magdalena Szpunar	36
Marek Klamczyński	37

PROZA DOROŚLI

Agnieszka Panasiuk	40
Danuta Urbańska	44
Tamara Żółwińska i Aleksandra Żółwińska	47
Agnieszka Góra-Stepień	54
Maria Kocot	61
Edyta Jachowicz	66

POEZJA MŁODZIEŻ

Martyna Niedźwiedź	72
Alicja Sówka	77
Urszula Stefanowska	79

Karolina Majorowska	83
Grzegorz Sobkiewicz.....	90

PROZA MŁODZIEŻ

Ewa Świątek	96
Jan Kocot	104
Natalia Maślej.....	108
Zuzanna Szłapa.....	112
Eliza Jeżak, Bielawa	119